ŚWIATOWID

NIECH ŻYJE ROK 1933!



Najpopularniejsza polska artystka p. Jadwiga Smosarska wznosi kielichem szampana toast na pomyślność Nowego Roku

Ag. fot. »Światowida«



ECHA TYGODNIA.







DUNIKOWSKI PRZED SĄDEM. W Paryżu rozpoczął się proces przeciwko inż. Dunikowskiemu, oskarżonemu o oszustwo. Mianowicie Dunikowski pobrał od różnych finansistów większe kwoty na skonstruowanie aparatów, przy pomocy których możnaby ziemię zamienić na złoto. Próby z temi aparatami, przedsięwzięte wobec ekspertów w więzieniu nie udały się. Dunikowski broni się, że padł ofiarą intrygantów, którzy chcieli wydrzeć mu tajemnicę wynalazku. Na zdjęciu (na lewo) Dunikowski ze swoim adwokatem, obok żona oskarżonego z dziećmi.



NAGRODY ZA KULT WYSPIAŃSKIEGO. P. minister Jędrzejewicz wręczył p. Solskiemu, Osterwie i Pronaszce nagrody po 2.000 złotych za najlepsze przyczynienie się do odpowiedniego wystawienia dzieł Wyspiańskiego, w związku z 25-leciem jego śmierci. Na zdjęciu siedzą (od lewej): L. Solski, minister Jędrzejewicz, wicemin. Żongołłowicz, w drugim rzędzie (trzeci od lewej) p. A. Pronaszko, obok Osterwa.



REKORDOWY POŁÓW. P. J. Rakiewiczowi, zarządcy dóbr hr. Badeniego w Krakowie, udało się złowić na Wiśle, koło Szczucina, na wędkę suma, długości 1.65 m. i wagi 25 kg. Holowanie tej olbrzymiej ryby trwało blisko godzinę, co wobec olbrzymiego ciężaru ryby, należy uważać za czas bardzo krótki. Suma zresztą jest trudno ciągnąć, ponieważ ryba ta trzyma się dna. Na zdjęciu szczęśliwy rybak (drugi od prawej) z towarzyszami z Krak. Towarzystwa Sportu Wędkarskiego „Wędzisko".



TRON DO SPRZEDANIA. Szach perski postanowił sprzedać swój tron, aby uzyskać pieniądze na opędzenie długów. Tron ten przedstawia miljonową wartość, gdyż jest wykonany z drogocennych metali. Ponadto jest on dziełem sztuki. Prawdopodobnie zabytek ten nabędą Anglicy. Na zdjęciu szach perski na historycznym tronie.

SCHÄFER I HOLOVSKY NA TORZE KATOWICKIM

Na przepełnionych trybunach katowickiego lodowiska oczekiwano z zaciekawieniem występu „magika łyżew", słynnego mistrza świata w jeździe sztucznej — Wiedeńczyka Schäfera. Publiczność nie taiła swej chęci zobaczenia tego jedynego, wybranego z miljonów, któremu wszystkie narody przyznały tytuł najlepszego łyżwiarza świata. Sztukę swą miał przecież Schäfer doprowadzić do wyżyn niedostępnych dla innych współczesnych mu ludzi.

Publiczność nie zawiodła się...

Karol Schäfer, młodziutki mistrz świata i olimpijski, nietylko zaimponował i zdumiał, ale porwał widzów i oczarował. Finezja techniki, doprowadzona u niego do ostatnich granic maestrji, łączy się z nieporównanym wdziękiem i swobodą z jaką wykonuje najtrudniejsze zadania. Tempo demonstrowanego programu, złożonego z najbardziej skomplikowanych ćwiczeń, jakie tylko istnieją w sztucznej jeździe na łyżwach — jest zawrotne. A jednak — tyle w nim swobody i lekkości, że widz zapomina o prawach fizyki i ma złudzenie lotu nad taflą lodową.

Schäfer włączył do swego repertuaru pokazy, których nikt dotychczas nie umiał przed nim wykonać. Robi on np. piruety o wielokrotnych obrotach, unosząc się całkowicie nad lodem. Jego wirowanie na łyżwach, jest tak szybkie, że robi wrażenie powiewnej masy, kręcącej się na lodzie.

Umie Schäfer oczywiście t. zw. program szkolny, który jednak wyko-nuje w nieprawdopodob nem nachylaniu do po wierzchni lodu. Nik przed nim nie potraf nachylić się do lodu wi cej, jak pod kątem 45% a jednak mistrzowi świa ta nie nastręcza to żad nych trudności. Pozate tańczy Schäfer pod ryt nowoczesnej muzyki, c ze względu na zmian taktu jest niezmierni trudne dla łyżwiarzy.

Duży urok osobisty postawa prawdziweg sportowca, zjednają te Schäferowi powszechn sympatję tłumów. Nie naczej było i w Katow cach, gdzie publiczno porwana jego wspania jazdą, obdarzyła go dł gotrwałą owacją.

Wraz z Schäferem wy stąpiły trzy łyżwiar wiedeńskie. Jedna z ni Hilda Holowsky, mistrz ni Austrji, znana jest Polsce ze swych wiel krotnych występów w na szych ważniejszych środkach łyżwiarskich Od ostatnich występó jednak, poczyniła ona o brzymi krok naprzó Dziś uchodzi słusznie z najgroźniejszą konku rentkę największego fe nomenu łyżwiarskieg świata — słynnej No wezki: Sonje Henje.

Wraz z nią popisy ły się swą trudną szt ką dwie Wiedenki, si stry: Illy i Olly Hol mann, które wykonał wdzięczny balet i da prawdziwie piękne wid wisko.

Nic dziwnego, że u niedziela łyżwiarska by ła w Katowicach dnie pamiętnym, gdyż napew ne takiego poziomu ły wiarskiej sztuki, nie w dziano jeszcze w Polse

Mistrzyni w jeździe sztucznej na lod lodowy



Mistrz świata Schäfer.

Goście

PRZYJACIEL POLSKI PREMJEREM FRANCUSKIM.



Przesilenie gabinetowe we Francji trwało stosunkowo krótko. Premjera Herriota, który ustąpił wskutek sprzeciwu parlamentu, płacenia raty od długów amerykańskich, zastąpił znany na terenie międzynarodowym, stały delegat Francji do Ligi Narodów Paul Boncour. Jest on z przekonań socjalistą, daleki jest jednak od doktrynerstwa Bluma. Należy on do wypróbowanych przyjaciół Polski, czemu dał niejednokrotnie wyraz. Na fotografji Paul Boncour, oblężony przez dziennikarzy. W poprzednim gabinecie piastował on tekę ministra wojny.

NAPRĘŻENIE STOSUNKÓW JUGOSŁOWIAŃSKO-WŁOSKICH.

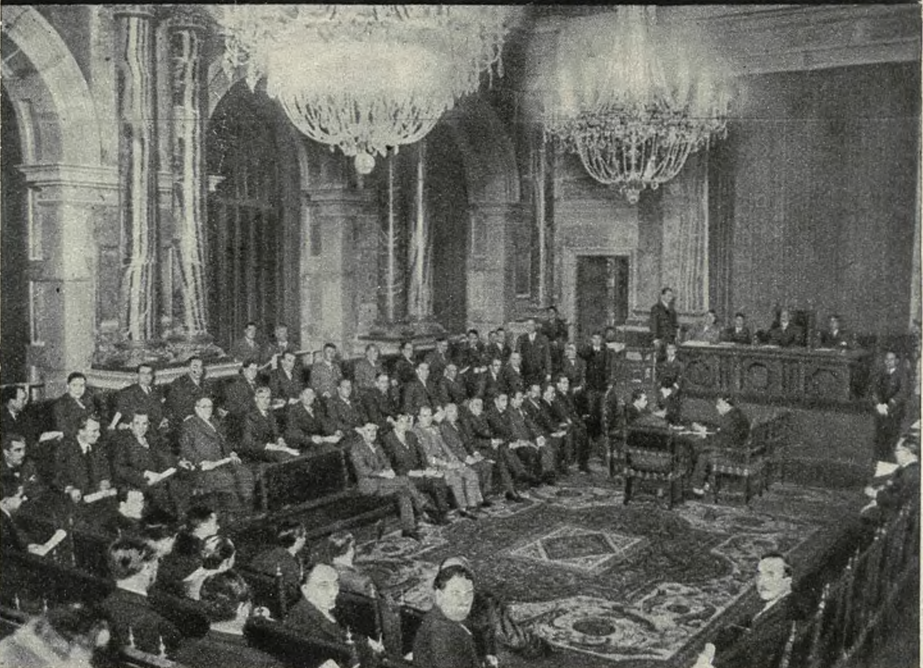


Stosunki pomiędzy Italją a Jugosławją pogarszają się z dnia na dzień. Pomiędzy oboma tymi państwami istnieje od wieków konflikt o pobrzeże Dalmatyńskie, Fiume, Karst i Gorycję. Kraje te bowiem są zamieszkałe przez ludność słoweńską i włoską. Odpowiadając na zrywanie z budynków publicznych w Dalmacji herbów dawnej republiki weneckiej, urządzili Włosi burzliwe demonstracje w Rzymie przeciwko Jugosławji, które znowu zkolei wywołały demonstracje jugosłowiańskie, w czasie których upominano się o ziemie słoweńskie, zagarnięte przez Włochy. Na zdjęciu wieśniacy z Gorycji, stanowiącej pogranicze włosko-jugosłowiańskie. Gorycja była w czasie wojny światowej terenem zaciętych walk, od których bardzo ucierpiała.

KOBIETY NA RINGU ZAPAŚNICZYM

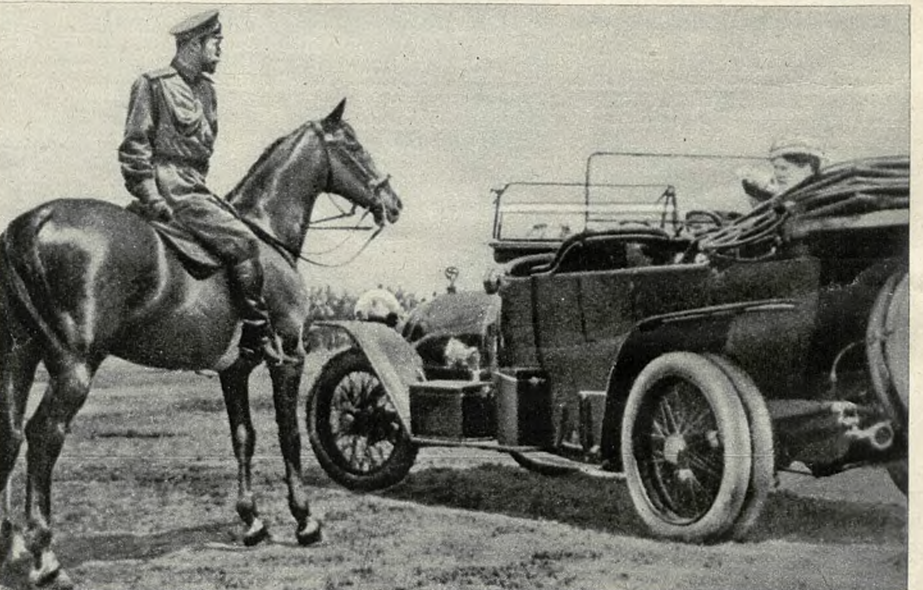


PARLAMENT KATALOŃSKI OBRADUJE.



W tych dniach nastąpiło uroczyste otwarcie pierwszego katalońskiego parlamentu. Tak więc Katalonja doczekała się pełnej realizacji swoich postulatów niepodległościowych, t. zn. otrzymała autonomję w ramach republiki hiszpańskiej. Niewątpliwie teraz stosunki pomiędzy Madrytem a Barceloną ułożą się jak najpomyślniej i stworzą podwaliny pod pomyślny rozwój młodej republiki hiszpańskiej.

HISTORYCZNA FOTOGRAFJA.



Ostatni car Rosji Mikołaj II. był bardzo przesądny i skłonny do mistycyzmu. Wierzył on, że maskotą jego jest swastyka, ten sam znak, który
…zaanektowali Hitlerowcy, jako swoje godło. Z rozkazu cesarskiego
…ostała umieszczona na aucie, używanem przez carową (na zdję-
…niła ona wprawdzie carową od katastrof automobilowych, nie
…ednak jej życia. Na fotografji, pochodzącej z czasów wojny
…ra na koniu, stojącego obok auta cesarskiego, ozdobionego
…V aucie siedzi carowa i dama dworu.

…EBEZPIECZNA JAZDA.



…ą porą do zwożenia drzewa z wysokich gór na
…W Bawarji jest w użyciu inny sposób. Pnie
…sanie, kierowane przez człowieka, siedzącego
…nie te na mocy bezwładności, posuwają się po
…kością. Kierowca ma wprawdzie do dyspozy-
…ko hamulce, ale mimo to wystarczy najmniej-
…ować wypadek. To też tylko bardzo doświad-
…ejmować prowadzenia takich sań.

P. Prezydent Rzeczypospolitej z ubitym niedźwiedziem w nadleśnictwie Iłomnia.

PAN PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ UBIŁ NIEDŹWIEDZIA.



Karpacka knieja z okolic Magury, znanego rezerwatu niedźwiedziowego.

Dnia 15 grudnia br. dyrekcja lasów państwowych urządziła polowanie na niedźwiedzie w nadleśnictwie Iłomnia (wojew. stanisławowskie), na którem p. Prezydent Rzplitej zabił olbrzymiego niedźwiedzia.

Polska jest jednym z nielicznych krajów europejskich, gdzie trafiają się jeszcze niedźwiedzie. Jest ich w lasach naszych ogółem około 150 sztuk, z tego najwięcej w Karpatach, w powiatach od Nadwórnej po Skole, następnie na Kresach w województwie nowogrodzkiem i poleskiem.

Sporadycznie trafiają się także niedźwiedzie w Tatrach.

Polowanie na niedźwiedzia posiada swój niezapomniany urok. Zwierz ten bowiem kryje się w niedostępnych borach, w prawdziwych świątyniach natury, w matecznikach, dokąd nie dochodzi rozgwar życia ludzkiego. Zimę niedźwiedź przesypia w gawrze. Gdy jednak mrozy są niewielkie, budzi się, a nawet wychodzi na żer.

Zasadniczo niedźwiedzie podlegają zupełnej ochronie. I tak nie wolno strzelać ani niedźwiedzi, ani piastunów.

Mylnem jest przekonanie, jakoby niedźwiedzie napadały na ludzi. Oczywiście zwierz ten podrażniony, lub raniony rzuca się na człowieka, o ile możności jednak unika z nim spotkania. Niejednokrotnie duże szkody robią niedźwiedzie wśród bydła pasącego się na połoninach. To też, aby temu przeciwdziałać, zarządy lasów przygotowują w rewirach niedźwiedziowych, w pewnych stałych miejscach, dla nich padlinę, najczęściej konie. Niedźwiedzie znając te miejsca, ściągają do nich zwykle wieczorem, lub nocą. Wtedy też najczęściej z zasadzki bywają strzelane.

Do najlepszych w Polsce znawców życia niedźwiedzia należy radca Kosterkiewicz ze Starego Mizunia.

W polskiej literaturze łowieckiej, oraz w legendach i baśniach ludu naszego, niedźwiedź zajmuje poczesne miejsce, czy to jako krwiożerczy „On" z noweli Tetmajera, czy jako dobroduszny Miś, uganiający za miodem czy wreszcie, jako mądry filozof z „Pana Tadeusza", podszeptujący, że „prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie".

Ogólny widok Zakopanego z Gubałówki.



— Mamy sobie dużo do powiedzenia...

My chcemy śniegu.

Kiedy przed trzema miesiącami na podstawie obserwacji tarła łososi przepowiedziałem najprzód nieoficjalnie, w gronie znajomych a później oficjalnie na łamach pism, że zima tego roku będzie bardzo łagodna, wyśmiano mnie i zakrzyczano.

— Skompromituje się pan na całej linji, razem ze swojemi łososiami, odpowiadano mi, nie szczędząc dosadnych docinków.

— Pańskie łososie to ryzykanty, wtórowali narciarze, ikra ich wymarznie ze szczętem, bo zima tego roku będzie, że strach. Nie czytał pan, że dzikie gęsi już z końcem września widziano nad Helgolandem, co zawsze zwiastuje wczesne mrozy.

Ja jednak byłem niewzruszony. Łososie bowiem nie kłamią i gdy zanosi się na zimę lekką, składają ikrę na miejscach płytkich. Tego roku na tak płytkich, że płetwy wystawały im z wody. Naturalnie łososie nie są jasnowidzące, przynajmniej nie posądzam ich o takie właściwości, ale mojem przynajmniej zdaniem, posiadają one specjalny zmysł, który pozwala im na przewidywanie zmian pogody na długie naprzód miesiące z matematyczną dokładnością. Zapewne wchodzą tu w grę, jak tłumaczył mi pewien fizyk, jakieś promienie. Dziś bowiem nauka stoi na tem stanowisku, że pogoda zależna jest od natężenia najrozmaitszych promieniowań, które na długi czas naprzód warunkują zmianę temperatury, ciśnienia barometrycznego itd. Otóż nic nie stoi na przeszkodzie, aby przypuścić, że ryby a specjalnie łososie mają w swoim organiźmie, jakąś aparaturę odbiorczą, która pozwala im na odbiór tych promieni kosmicznych, które warunkują pogodę. Gdyby zresztą tej aparatury nie miały, nie mogłyby się orjentować w bezmiernych oceanach, przez które wędrują, aby z powrotem po kilku latach pobytu w morzu, wrócić do tej rzeki i do tego miejsca, gdzie się urodziły.

Niech mi nikt nie prawi bajek o „instykcie“, gdyż mamy tu do czynienia z typowym statkiem bez załogi, kierowanym przez fale radjowe.

Ale wracajmy od łososi do Zakopanego.

Więc zima, jak dotąd słaba. Ale wszystko ma swój koniec, zbliżają się Trzej Królowie a oni z wieku i urzędu postarają się już o ten najcenniejszy dar zimy, jakim jest śnieg. Gdyby zaś i oni zawiedli, to w takim razie zakładamy towarzystwo dla ochrony śniegu i będziemy konserwować nawet śnieg zeszłoroczny, choć dotychczas uchodził on za coś zgoła niepotrzebnego i zbędnego, tak że w chwilach irytacji ludzi, tak wymyślali sobie: obchodzisz mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg.

Teraz jednak ten zeszłoroczny śnieg, będziemy zbierali, magazynowali w specjalnych chłodniach a nawet eksportowali, co oczywiście poprawi nasze finanse, przyczyni się do wzmożenia ruchu handlowego i stanie się jednym z punktów programu, mającego na celu złagodzenie kryzysu.

Ale wyobrażam sobie, co to będzie za radość, gdy nagle pięknego poranku, niebo zasępi się i zacznie „suć“. Toż to będą ludzie skakać z radości, górale, narciarze, saneczkarze, Marusarze, Motyki i Trzaski.

Z tysięcy ust wyrwie się okrzyk: nareszcie!!!

Zima stanie się faktem dokonanym. A wiadomo, że wobec faktów dokonanych kapitulują nietylko mężowie, ale nawet Liga Narodów.

J. L.

RERI.

Świat do was mówi — słyszycie z ekranu melodje kuli ziemskiej? Dźwiękowiec przyniósł nam wielką symfonję języków i szmerów wszystkich kontynentów.

Słyszymy śpiew ptaków dalekich wysp, szmer palm poruszanych wiatrem z nad oceanów, przejmujący jęk syren okrętowych, szum fal bijących o skały nabrzeżne, ryk dzikich zwierząt, — słyszymy głosy puszczy, dżungli, stepu.

Od „Białych cieni“, „Poganina“, poprzez „Tabu“ i wszystkie reportaże filmowe — ciągnie się pasmo filmów egzotycznych, zbliżających do naszego oka czar i urok, grozę i zagadkowość nieznanych lądów.

Zbliżyły się do nas wyspy mórz południowych, których smak dał nam już London, a których wizje dopiero przyniosły nam filmy. Wyspy południowe o dziewczętach, których wspaniałe bronzowe nogi i biodra osłonięte wieńcami z liści tańczą najszaleńszy taniec świata.

Najpiękniejszy ich okres życia to wiek między 12 a 18 rokiem. Dziewczęta te są dobrze zbudowane, ruchliwe, pełne życia, noszą króciutkie jaskrawe sukienki do kolan. Miękkie okrągłe kapelusze, ozdobione wieńcami z muszli stanowią strój głowy, naszyjnik z muszel, jakiś tombakowy pierścionek, pamiątka po marynarzu, który wróci może dopiero za lat parę — to klejnoty dziewczęcia wysp południowych. Dziewczęta te są zawsze w dobrym humorze i są wiecznie uśmiechnięte i żyją jakby w ustawicznym rytmie tańca. Śmieją się do cudzoziemców ich czarne, duże oczy, ocienione długiemi rzęsami.

Dziewczęciem takim była mała Reri, która występowała w jednym z najlepszych filmów egzotycznych „Tabu“, przyniosła ona do Europy czar i wdzięk wysp mórz południowych. Obecnie objeżdża Europę — już nie jako „cień“ na ekranie, lecz jako roztańczona, żywa ruchliwa — perła mórz południowych.

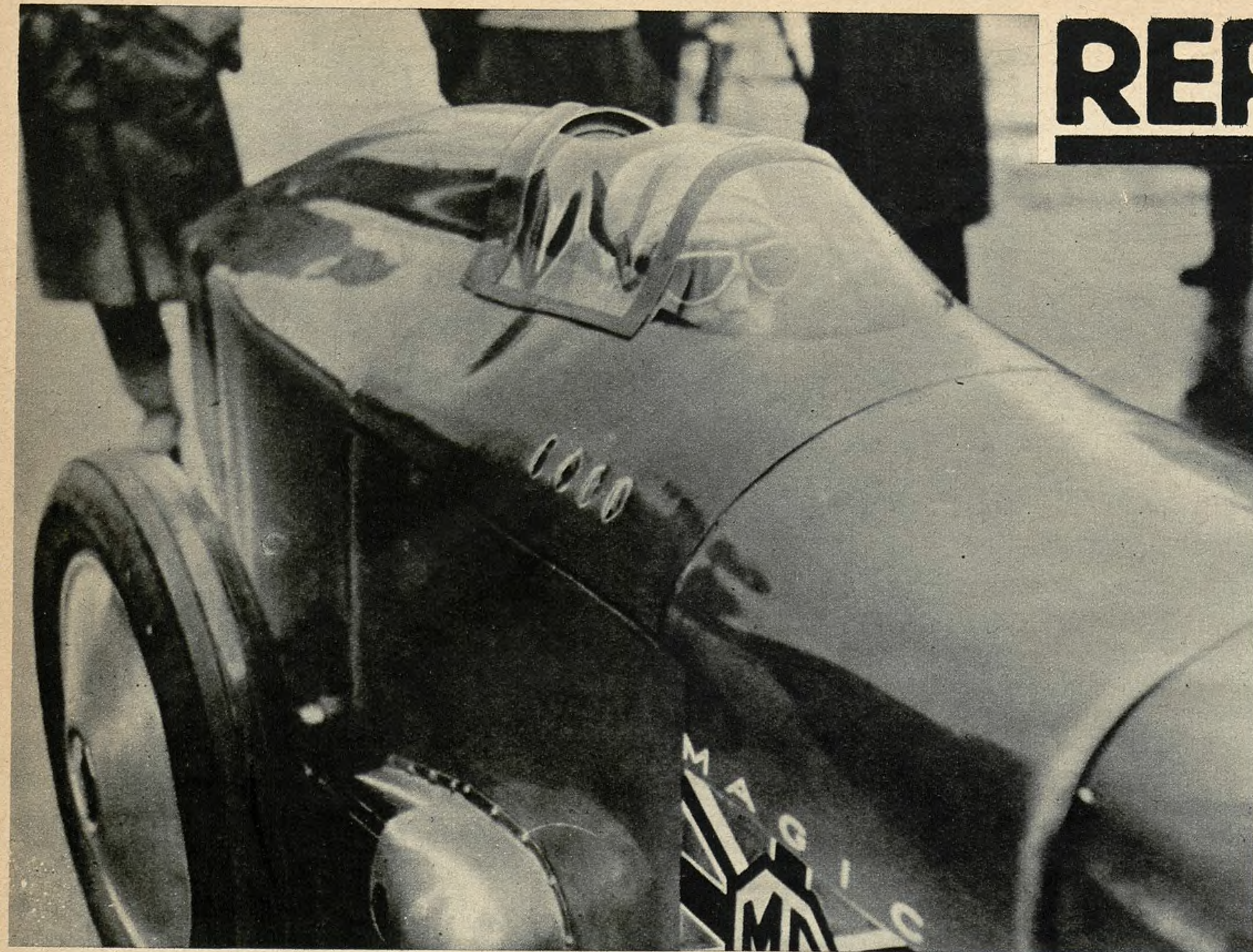
Zb. Grot.



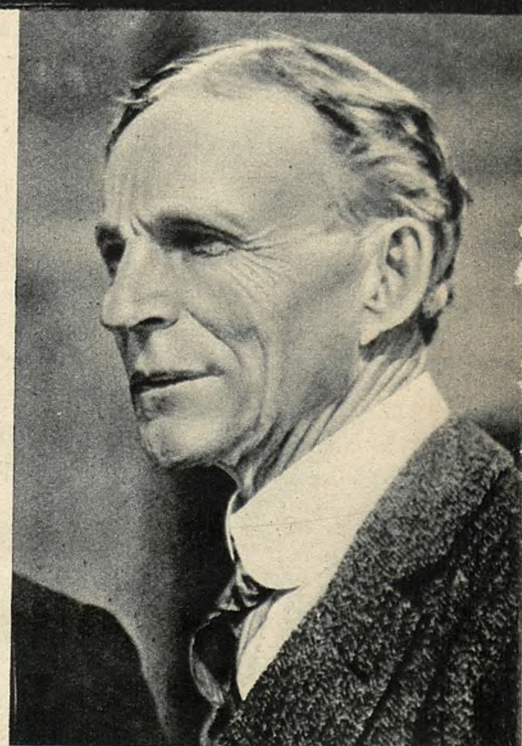
Reri, tancerka hawajska i artystka filmowa.

Reri, tańcząca.

REPORTAŻ



W POWODZI REKORDÓW. Kierowca angielski Eyston, na wozie Magig Midget, o sile 5 CV i pojemności 750 ccm ustanowił rekord świata dla tej kategorji maszyn, przejeżdżając w Monthlery 5 km. z przeciętną szybkością 189 km. 474 m. na godzinę. Poprzedni rekord wynosił184 km. 710 m.



MILJARDER POWRACA DO ZDROWIA. Znany fabrykant automobili, Henryk Ford, musiał poddać się operacji ślepej kiszki, która szczęśliwie udała się. Niecierpliwy jednak pacjent, zamiast spokojnie leżeć w łóżku, tak, jak mu to zalecili lekarze, pewnego pięknego poranku dyskretnie uciekł ze szpitala. Widocznie przyszedł do przekonania, że w dobie kryzysu nie wolno mu próżnować, ani zaniedbywać swoich rozlicznych interesów.

NA SZCZEPAŃSKIM PLACU W KRAKOWIE.

U stóp pałacu Sztuki i Starego Teatru rozłożył się barwny targ warzywny. Ten kontrast ma swoją wymowę: nie wystarczają nam same uczty ducha, musimy pamiętać także i o ciele. Codzień rano, kiedy panowie domu kierują w biurach i urzędach „losami świata", Kasie, Marysie i Agaty śpieszą po zakupy. Panie, które nie pracują poza domem, a sceptycznie odnoszą się do talentów swych pomocnic, idą z pięknemi teczkami, aby zaopatrzyć się własnoręcznie w kapustę i pomidory. Z fantastycznych gór zieleni, purpury, bieli i fioletu, wybierają najładniejsze okazy, oglądają je starannie i po długich targach niosą do domów. — W epoce, której niestety nikt z nas nie pamięta (bo działo się to bardzo dawno przed wojną), pierwotna żona pierwotnego męża, odziana w skórę lamparta, szła zbierać pomidory, które były wszystkich i niczyje. Dzisiaj — cywilizowana żona wkłada zwykłe, kupione na raty źrebce i odziedziczony po dalekiej prababce spryt, wysila się na kupienie najlepszych jarzyn po najniższej cenie. Na Szczepańskim placu trzeba umieć zachować się właściwie i z taktem. Żaden savoir-vivre nie poucza o tem, a to jest jednak bardzo ważna sprawa. Ta sama łagodna kobiecina, która pyta słodko: „czego paniusia potrzebuje?" — umie za chwilę być groźną, jak lwica. Spróbujcie tylko ofiarować jej cenę dwa razy niższą od tej, którą ona sama podała. Zazwyczaj, jeśli ktoś ma usposobienie nieco kłótliwe, a jest przytem elokwentny, w momentach żywszej wymiany zdań proponują mu, aby udał się na Szczepański plac, „tam jest dla ciebie odpowiednie miejsce!" Uważam, że ta opinja wysoce krzywdzi plac Szczepański. Tam się nikt nie kłóci, tam tylko wszyscy są pełni godności. Krakowska przekupka ma za sobą kilkuwiekową tradycję i umie się odpowiednio cenić. — Już w szesnastym wieku pisał Marcin Bielski w jednej ze swych satyr o przekupkach z Sukiennic (Smatruziankach):

„Skóry z cielców wyprawią, a rzeką „jelenie"!
Nic dbają nic na Boga, o dusze zbawienie.
Nuż zasię one baby, co siedzą na trecie[1])
Jeśli z niemi targujesz, „zabajać" kalecie[2]).
Bo nic nigdy nie robi, nad węglem się piecze,
To się baba czerwieni, dobrze[3]) się nie wściecze".

Według Górnickiego i król Zygmunt Stary nieraz z okna wawelskiego zamku na przekupki i ich kramy spoglądał. Widzimy więc, że powodów do dumy mają krakowskie przekupki dość. To też nie należy im się dziwić, że nie pozwalają lekceważyć swojego towaru i że chętnie sprzedałyby go na wagę złota. Naogół przekupki są elokwentne, ale że z dzisiejszą kryzysową klijentelą „szkoda kużde słowo", więc zamiast odpowiadać na liczne pytania o ceny, wolą wystawić pięknie wypisaną tablicę. Ortografja jest wprawdzie całkiem swoista, ale i tak każdy wie, o co idzie:

Marchef — 10 groszy.
Bóraczki — 20 groszy.
Rzatkiewka — 40 groszy itd.

Gdzie tablic niema, słyszymy takie djalogi:
— Po wiele te kalafiory?
— Zależy od kalafiorka — różne som.
— Co? te pomidory 70 groszy?
— Pani, pomidory jak złoto! świetna zupa dla mężusia będzie.

Odwieczny instynkt walki i samoobrony zabarwił rumieńcem policzki sprzedającej, typowej Herod-baby, której ktoś zuchwale proponuje małą obniżkę ceny.

„Jeszcze czego! Złodziei z nas chcą zrobić! Kraść dla was będzie my, czy co?"



Kobiety wiejskie na placu Szczepańskim w Krakowie.

Dwa razy w tygodniu targ szczepański jest specjalnie ożywiony. Obok barwnych jarzyn i szarych, jak codzienne życie i jego potrzeby, kartofli, zjawiają się i inne przedmioty. Są to zazwyczaj różne „wynalazki". Rzadko kto je kupuje, ale zato cały tłum słucha reklamowych wykrzykników sprzedawcy.

„Najlepszy środek na odciski i twardą skórę! Po użyciu mego środka, do trzech dni schodzi każda jedna twarda skóra, a zostaje się zdrowa noga. Każdy musi być zadowolnionym, w przeciwnym razie zwracamy jednego złotego!" Jednocześnie sprzedawca demonstruje na gipsowej stopie sposób nakładania lekarstwa. Obok zachwalają najnowszy środek do zalewania dziur w garkach. Ktoś z tłumu przerywa tok wymowy, ale sprzedawca umie się bronić z godnością: — „Proszę publiki, proszę nie przeszkadzać! Jak skończę, wtedy będziemy dyskutować!" Istny Wersal ten Szczepański plac!

A wracając do rynku, można jeszcze po drodze kupić, zjeść i nauczyć się robić trzy ciastka za dziesięć groszy. Jajko, mąka, woda, szczypta soli — szczypta cukru i już ciastko smaży się na smalcu. „Bierze się tego wszystkiego tyle, ile potrzeba — objaśnia sprzedająca dama — a można także wziąć i coś więcej".

Przepis jest, jak widzimy, dokładny; kiep ten, kto nie zrobi według niego ciastek! I kiep ten, kto nie oglądał zbliska tak barwnego i gwarnego targu na Szczepańskim placu.

[1]) Tret = deptak, rynek.
[2]) Zaśpiewa ją twojej sakiewce.
[3]) O mało.

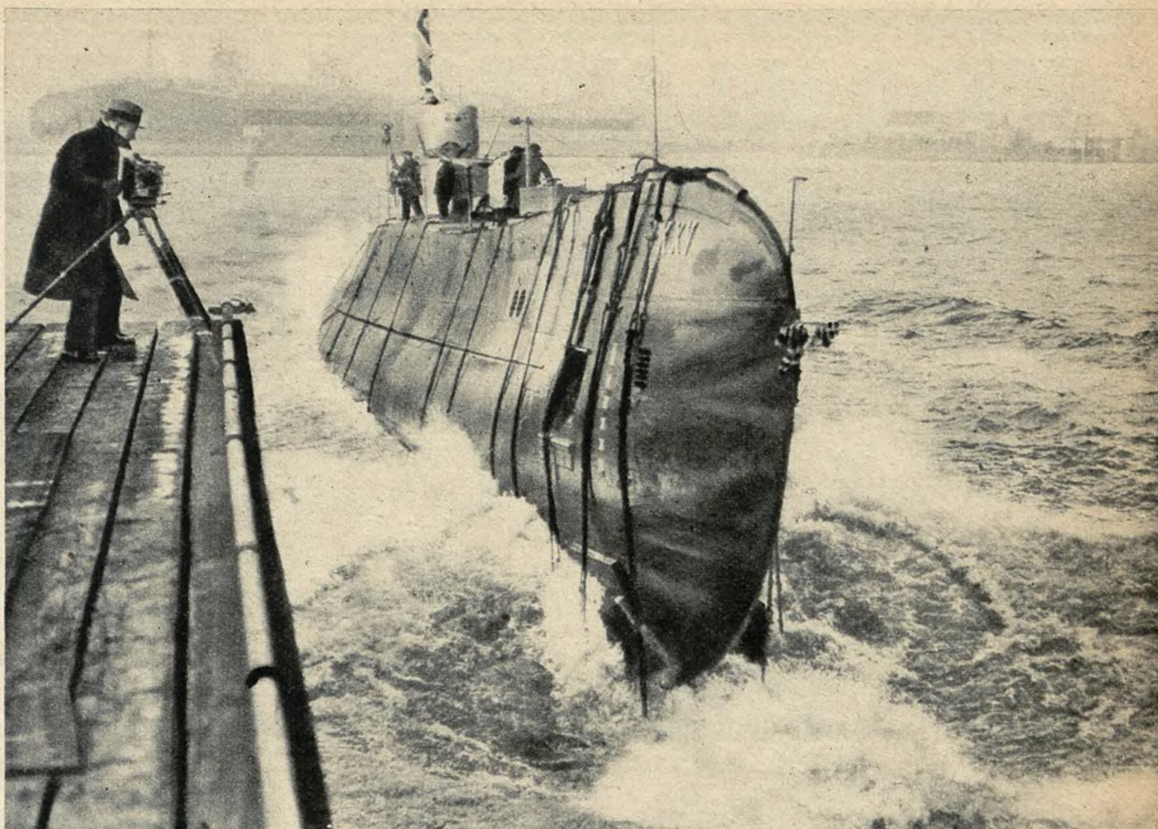
ZE ŚWIATA.



KATASTROFA KOLEJOWA W SZWAJCARJI. W pobliżu Lucerny zderzyły się ze sobą dwa pociągi, przyczem kilkanaście osób odniosło rany, a sześć zostało zabitych. Powodem tej katastrofy było przeoczenie sygnału przez ekspres, zdążający z Zurychu. Na zdjęciu pogruchotane szczątki wagonów.



KONFLIKT ANGIELSKO-PERSKI. Persja wymówiła koncesję naftową, udzieloną Anglikom, jeszcze w 1902 r. Otrzymał ją pewien miljoner angielski, który wzbogaciwszy się w Australji, przeniósł się potem do Persji, gdzie rozpoczął poszukiwania za naftą. Dopiero jednak po kilku latach intensywnych wierceń, które pochłonęły olbrzymie sumy, trysnęła nafta. Obecnie jednak Persowie postanowili ten kwitnący interes zagarnąć do siebie, co oczywiście wywołało sprzeciw Anglji. Na zdjęciu Reza Schah Pahlavi, władca Persji, który energicznie przeciwstawił się obcym koncesjom w swoim kraju. Fotografja ta została wykonana w Meshedzie przez lekarza-Polaka tamtejszego szpitala.



ZBROJENIA HOLANDJI. W Rotterdamie spuszczono na wodę łódź podwodną „K XV“. Jest ona przeznaczona do służby w Indjach holenderskich.



AMERYKA POD ZNAKIEM GŁODU. Dziesiątki tysięcy bezrobotnych, urządziło po raz wtóry marsz głodowy na Waszyngton, aby domagać się od Kongresu zasiłków i pracy. Przybywszy na miejsce demonstranci spotkali się z silnemi oddziałami policji (na zdjęciu), uzbrojonymi w pałki gumowe, broń palną i bomby gazowe.

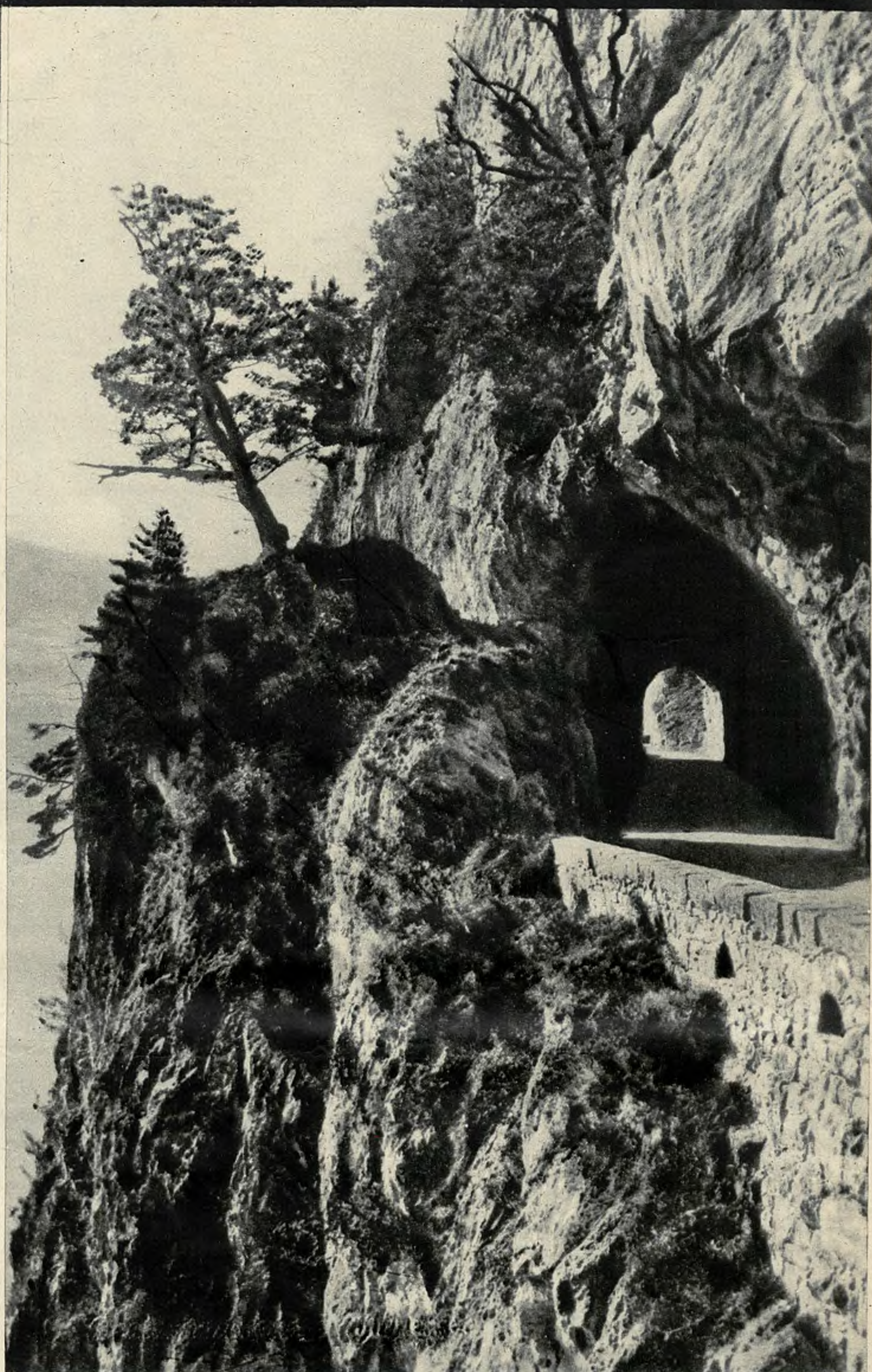


BUDOWA NOWEJ SZOSY W EGIPCIE. W Egipcie ukończono drogę asfaltową, łączącą Kairo i Gizeh. Biegnie ona częściowo przez pustynię i kończy się u stóp piramid. Niewątpliwie droga ta przyczyni się do wzmożenia ruchu turystycznego, który jest źródłem wielkich dochodów Egiptu.

Z KRAJU WZOROWEJ TURYSTYKI.



Pod szczytem Jungfrau w Szwajcarji. Widok na Rottalhorn.



Fragment malowniczej drogi nad jeziorem Thun.
ZDJĘCIA A. SANDOZ.

Szwajcarja, to kraj cały nastawiony na przyjęcie... międzynarodowych gości... Żyje z nich, to prawda, ale też daje im maksimum wygód i przyjemności. Koleje, hotele i wszelkie udogodnienia turystyczne są bez zarzutu.

A zatem jest przedewszystkiem bogato rozgałęziona sieć kolejowa, składająca się w części z kolei państwowych (Schweizerische Bundesbahnen), w części z kolei prywatnych, a wreszcie z dużej ilości kolejek górskich, wychodzących do wysokości 3500 metrów. Z małemi wyjątkami cała sieć jest zelektryfikowana, dzięki czemu podróżuje się nadzwyczaj miło, w czystości, bez dymu i sadzy. Pociągi, tak osobowe jak pospieszne, są ogromnie czyste, zaopatrzone w luksusowe umywalnie, piękne zdjęcia fotograficzne, lustra, oraz pisma ilustrowane. W każdym można nadawać depesze. Wagony restauracyjne i sypialne pierwszorzędne. W Szwajcarji nie istnieje nieznośny zwyczaj ciągłego pokazywania biletów przy wejściu na peron i wyjściu — gdy człowiek się spieszy i ma pełne ręce. Na każdym dworcu, czy olbrzymim kolosie w Zürychu czy na czyściutkiej stacyjce w Morges — można każdej chwili wyjść i wejść. Bilety kontroluje tylko konduktor i odbiera je przed stacją przeznaczenia. Z biletem ważnym 10 dni wolno wszędzie wysiąść i zatrzymać się dzień czy dwa bez „przerywania jazdy" w urzędzie ruchu.

Nadzwyczaj sprawni są pakierzy, załatwiając doskonale wszelkie powierzone im polecenia, poczem zjawiają się jak duchy przy pociągu z rzeczami, o których się już zwątpiło, czy się na czas znajdą. Bagażowi obliczają sobie należytość sami, zależnie od ilości i wielkości pakunków.

Hotele szwajcarskie przeżywają obecnie ciężki kryzys. Większość hoteli luksusowych albo już zbankretowała, albo jest zamknięta i czeka lepszych czasów. Takie kolosy jak hotel Victoria, lub Jungfraublick w Interlaken, o 30 oknach frontu i 200—300 pokoi — śpią snem wiecznym. Prosperują tylko hotele średnio drogie, t. zw. gutbürgerliche Häuser i tanie „für einfache Ansprüche". Ruch turystyczny zmniejszył się wobec ogólnego zubożenia ogromnie, przestali przedewszystkiem przyjeżdżać Anglicy i Amerykanie, sypiący dolarami. Najtańszy pokój w mieście kosztuje 4 franki (6.80 złotych), a z wodą bieżącą 4.50, do tego doliczają opał i usługę. W uzdrowiskach ceny są nieco wyższe. Podkreślić trzeba wielką czystość, uczciwość i doskonałą usługę w hotelach, nawet najskromniejszych.

Kuchnia szwajcarska — zależnie od kantonu, wzorowana na niemieckiej, francuskiej lub włoskiej — jest smaczna i obfita. Na śniadanie porcja kawy na 2 filiżanki, 2 bułki, masło, miód i konfitura za 1.50—1.75 fr. (frank = 1.72 złote). Obiad: zupa, przystawka, mięso przynajmniej z dwiema jarzynami prócz sałaty — i legomina, lub kosz owoców, wymieszanych z orzechami. Sałata jest obowiązkowa, przyczem podają ją w najróżniejszych gatunkach i przysmakach. Obiad taki kosztuje 3—4 franków, wino, jedna czwarta litra 50—80 ct. Na kolację jest drugi obiad. Więc znowu zupa, mięso i owoce, a czasem jeszcze czwarte danie. Cena jak obiadu.

Obowiązkowa jest dopłata za usługę przynajmniej 10 proc.

Specjalnie dobrze umieją się Szwajcarzy reklamować. Barwne, gustowne afisze łatwo przyciągają oczy. Więc np. zawody narciarskie w Zermatt reklamują się wspaniałą białą sylwetą Matterhornu na błękitnem tle — nad którą wzlatuje narciarz w skoku. Miłe baby w błękitnem ubraniu narciarskiem łapie w rączki promienne słońce — a za niem widnieją białe góry i skośny napis St. Moritz. Nie brak i dowcipnych, jak narciarki w kostjumach kąpielowych na wspaniałem tle Arosy, albo bajeczne żółte kurczę, pijące przez słomkę reklamowaną cytronadę.

Pisma ilustrowane, sportowe i narciarskie zachwycają ilością i bogactwem zdjęć. W każdem niemal znaleźć można program sportowy na całą zimę dla wszystkich ważniejszych miejscowości — oraz codzienny „Wetterbericht" (prognozę pogody). Także kawiarnie mają przy spisie potraw program koncertów popołudniowych i wieczornych na cały tydzień. Bardzo gustowne są karty z menu, mogłyby się na nich wzorować niektóre nasze restauracje — gdzie z podłej i wymiętej karty zaledwie można coś wyczytać.

Szwajcarja, z wyjątkiem dużych miast żyje sezonami. W martwym sezonie zamienia się taka Lucerna, Interlaken czy Lugano na zupełną trupiarnię i zjawiający się wówczas turysta wywołuje nieomal sensację. Hotele zamknięte, sklepy po większej części także, statki śpią w porcie. W sezonie zmartwychwstaje wszystko i ożywa pod napływem gości — ale także „ożywiają" się ceny, jadąc szybko w górę. W uzdrowiskach zimowych sezon się właśnie rozpoczyna. Słynne Davos, St. Moritz, Arosa — w Graudünden — Wengen, Mürren, Grindelwald w Berner Oberland — czy Zermatt w kantonie Wallis — otwierają skocznie, tory bobslejowe i łyżwiarskie, urządzają pierwsze inauguracyjne zawody. Tam więc trzeba uciekać z pustych letnisk i zabłoconych miast. Alpy zawalone są śniegami i czekają na rzesze zapalonych narciarzy.

Marja Sandoz (Zurych).

GWIAZDKA GEN. SCHLEICHERA.

Ani słowa — przyjemną będzie miał generał Schleicher tegoroczną gwiazdkę. Genewski aniołek przecie przyniósł mu tym razem... dozbrojenie, którego zacny generał na równi ze wszystkimi swoimi rodakami z prawa i lewa tak bardzo pragnął. Wprawdzie dar ten drogocenny dla grzecznej dziewczynki — Germanji, przysłonięty jest palmami pokoju, to jednak widać z pod nich wyraźnie piękne lufy armat bijących na dziesiątki, a może setki kilometrów, zwinne tanki, szparko nurtujące się submariny i wysoko w powietrzu, jak jastrzębie nad upatrzoną zdobyczą ważące się aeroplany bojowe, wyładowane przedziwnemi bombami... Słowem same najsurowiej dotąd grzecznej Germanji zakazane i tembardziej pożądane i smakujące owoce...

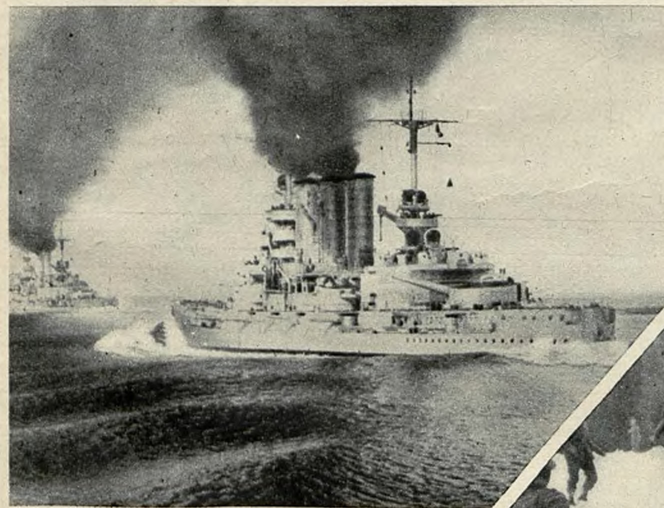
Wprawdzie trzy wielkie mocarstwa, które prawem wyłącznie siły i wielkości swych brzuchów wzięły sobie prawo decydowania o losach świata, wsadziły udzielone Niemcom prawo zbrojeń w ramy rozbrojenia, t. z. powszechnego i takiegoż t. zw. „bezpieczeństwa“, to jednak obraz jest zawsze ważniejszy, niż ramy. Zresztą można go zawsze z tych ram wyjąć, włożyć w inne, lub zgoła bez ram podziwiać...

Cokolwiek zatem mówi się już i powie się jeszcze dla uspokojenia umysłów, to jedno pozostaje faktem pewnym i konkretnym, że Niemcy, rozbrojone przez Traktat Wersalski, otrzymały prawo uzbrojenia się tak i tem, w co same zechcą. Cała najważniejsza część tej grubej księgi Nowego Zakonu, którym miał być dla powojennej Europy Traktat Wersalski, została przekreślona i wydarta z całości. Niemcom przyznano swobodę zafundowania sobie takich i tylu zbrojeń, jakie się im będą podobały. Można zaś mieć to zaufanie do energji niemieckiej, że to pozwolenie nie pozostanie niewyzyskane do ostatecznych granic.

Powie ktoś, że to na razie słowo zostało powiedziane, ale rzeczy samych jeszcze nie widać. Ale tak samo w sprawie reparacji wojennych zostało powiedziane w Lozannie tylko słowo, które jednak wystarcza, że cały świat wie, iż Niemcy reparacji więcej nie zapłacą, podczas gdy zwycięskie pań-



Żołnierz niemiecki w rynsztunku bojowym, bawiący się ołowianemi żołnierzami.



Rozbrojona flota niemiecka, należy do najbardziej nowoczesnych.

więcej nie zapłacą, podczas gdy zwy-cięskie państwa teraz właśnie mozolą się z wypłatą półrocznej raty od swoich długów wojennych...

Ani słowa — generał Schleicher może być zadowolony. Przyznanie bowiem Niemcom prawa zbrojeń było im już naglące potrzebne. Nie dlatego, aby bez tego pozwolenia nie mogły się one zbroić, ale dlatego, że to właśnie zakazane dotąd uzbrojenie wyrosło tymczasem w cieniu zakazów tak bardzo, iż lada chwila mogło porozrywać wątłe powłoki konwenansów i postawić Niemcy w niewygodnem położeniu tych, którzy nie szanują traktatów i nie respektują swoich własnych na nich podpisów. Genewskie pozwolenie na zbrojenia usuwa od Niemiec niebezpieczeństwo tej niewygody. Teraz mogą już spokojnie pokazać, co już przygotowali dla niedalekiej wojny odwetowej i tem śmielej i spokojniej przygotowania te dalej prowadzić...

Dotąd Niemcy z poszanowania dla litery Traktatu Wersalskiego co roku na manewrach Reichswehry wyprowadzali w pole tanki z desek i ustawiali dla maskowania baterji nieprzyjacielskich ciężkie armaty z tektury. Gromadzie zaś świetnych attaches zagranicznych pokazywali z melancholją, że muszą tak maskować główne części nowoczesnego uzbrojenia armji, ponieważ prawdziwych i rzeczywistych posiadać im nie wolno. Toteż nic dziwnego, że na ostatnich jesiennych manewrach biedna „Reichswehra“ mająca bronić Odry, w mig uległa wszechmocy ataku polskiego...



Ćwiczenia górskie artylerji niemieckiej.

Teraz skończył się już ten „Bal maskowy“. W następnych manewrach Niemcy już nie będą demonstrowały swojej nędzy i militarnej niemocy, ale przeciwnie zabłysną przed światem swoją... przemocą. Znowu, jak za „dobrych“ czasów Wilhelma ziemia będzie dudniła pod stopami kroci świetnie wyszkolonych żołnierzy i jęczała pod ogromnemi kołami zmotoryzowanych armat-potworów.

Jednem słowem świat na drodze do rozbrojenia i wiecznego pokoju zrobił znowu ogromny krok — za rok, lub dwa otrzyma on znowu ogromną niemiecką armję, zasobną w świeże doświadczenia ostatniej wojny, wyposażoną przez olbrzymią technikę i stale mocno podgrzewaną zapałem do nowej wojny, tym razem odwetowej.

Świat cywilizowany, pogrążony w miłym kryzysie powszechnym, sympatycznie skłócony i gruntownie załgany, uzupełni ten garnitur potężną armją niemiecką, a z Berlina zaczną rozlegać się głosy brzmiące całkiem inaczej niż dotąd, bo wzmocnione przez resonans płyt pancernych na tankach bojowych...

TUNEL POD SKALDĄ.

Antwerpja, w grudniu.

Grudzień roku 1932 stanowi dla techniki i przedsiębiorczości belgijskiej bardzo ważną datę. Belgja zrealizowała swój wielki plan budowy tunelu pod jedną z najszerszych rzek europejskich — Skaldą, który w chwili obecnej jest największym tunelem w Europie.

Rozwój portu w Antwerpji przechodzącego dziś na pierwsze miejsce w Europie był tamowany, jak zresztą w każdym rzecznym porcie, brakiem mostów, których budowa jest bardzo trudną ze względu na olbrzymy transatlantyckie, muszące pod nimi przechodzić. Z tego powodu port antwerpijski rozwinął się tylko z prawego brzegu rzeki Skaldy, podczas gdy strona lewa była prawie że zupełnie niezamieszkałą. Podobny stan rzeczy był dla Belgów bardzo uciążliwy ze względu, iż Antwerpja stawała się coraz to bardziej rozległą z jednej strony rzeki, podczas gdy z drugiej poza kilkoma budami i domkami robotników, którzy do pracy przeprawiali się na barkach, lub statkach przewozowych, nic się nie rozwijało. To było też przyczyną, która pchnęła Belgów w okresie największego kryzysu do kopania największego podrzecznego tunelu w Europie.

Kopać tunel w piasku przesiąkniętym wodą, nad którym znajduje się rzeka o głębokości 15 metrów, nie należy do rzeczy łatwych. Tunel był kopany na głębokości od 31 do 37 metrów od poziomu wody, czyli pod 15 m. wody i 20 m. piasku. Była to albo glina, albo też piaski ruchome. Nad zrealizowaniem tego planu pracowało w ciągu kilku lat kilkudziesięciu inżynierów ściągniętych do Belgji z Ameryki i Francji, nie licząc już całych zastępów inżynierów i rysowników belgijskich.

Trudność zasadnicza polegała na tem w jaki sposób mogła posuwać się praca drążenia tunelu bez wtargnięcia doń wody, czy też ruchomych piasków. W tym celu zbudowano olbrzymi cylinder w którym znajdowało się 300 robotników, wszyscy zamknięci w specjalnych ochronach, które pozwalały im pracować w powietrzu ściśnionem.

Bronią, jaką walczono z piaskiem i wodą było właśnie ściśnione powietrze, wywierające presje 2 kg. na 1 cm. kwadratowy ziemi. W ten sposób olbrzymie koło posuwało się naprzód kopiąc tunel, a z tyłu postępowało kilkuset robotników, którzy zdobyty teren umacniali i tworzyli z betonu olbrzymie zapory przez które piasek i woda przeniknąć nie zdołały. W ten sposób pracowano bez jednej przerwy w dzień i nocy. Olbrzymia armja 1.200 robotników stale się zmieniała, zwyciężając powoli rzekę.

Praca w tym cylindrze przypominała poprostu piekło. Żaden z robotników na chwile nawet nie mógł popełnić najmniejszej nieostrożności bez narażenia się na utratę życia. Żyli oni w specjalnym reżymie, który im nie pozwalał nawet pić alkoholu. Pierwszy robotnik, który chciał się wyłamać z tych reguł i upił się w przeddzień przystąpienia do pracy, po wejściu do cylindra padł natychmiast, jak rażony kulą rewolwerową na ziemię. Na szczęście powzięte były wszystkie środki ostrożności. W tym piekielnym cylindrze znajdowała się nawet apteka izolowana od skompresowanego powietrza i tam robotnika tego przywrócono do życia. Każdy z nich posiadał specjalny znak, który musiał nosić, gdy się znajdował na mieście, ażeby w chwili gdy straci przytomność i upadnie na ziemię wiedziano dlaczego to się stało i zastosowano mu odpowiednią pomoc. Rzeczą ciekawą do zanotowania jest fakt, iż robotnicy szczupli i mali o wiele lepiej znosili warunki tej ciężkiej pracy, niż inni.

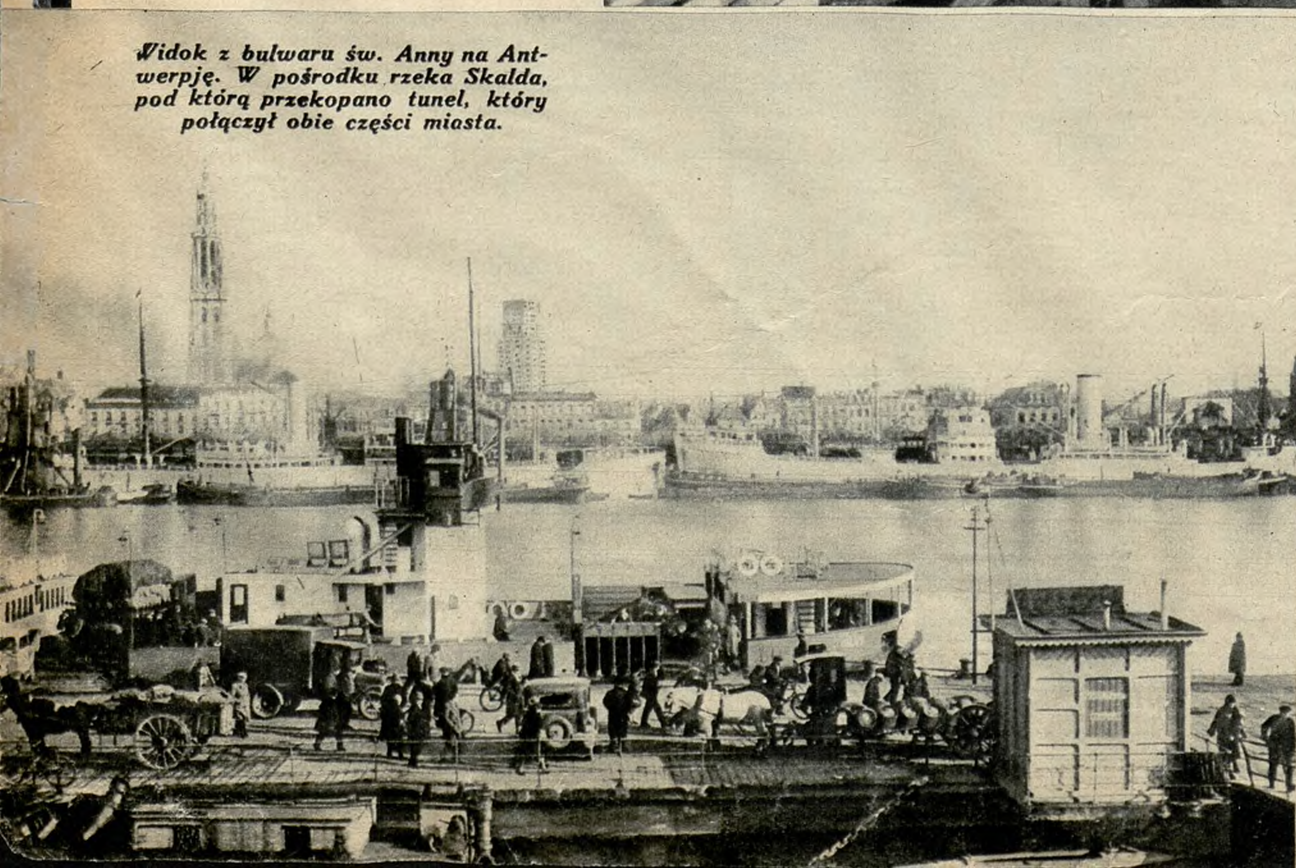
W chwili obecnej został już wykończony tunel dla pieszych. Mierzy on 570 m. długości, średnica wewnętrzna wynosi 4.30 m. zewnętrzna zaś 4.70 m. Chodniki są szerokości 3.80 m. Z każdej strony rzeki znajdują się windy mechaniczne, mogące w ciągu godziny obsłużyć 16.000 osób. W tunelu ciągnie się ruchomy chodnik, robiący 5 km. na godzinę, który w ten sposób umożliwia szybsze przejście. Obok tunelu dla pieszych wybudowany jest drugi dla pojazdów. Ten mierzy 2.110 m. i schodzi do rzeki pochyło, by się później z drugiej strony podnieść, spadek i wzniesienie wynoszą 3.50 m. na 100 m. Średnica wewnętrzna tunelu wynosi 8.70 m. zewnętrzna zaś 9.40 m. Szerokość drogi dla pojazdów wynosi 6.75 m. Koszt budowy obydwóch tunelów wynosi 380 miljonów fr. belgijskich.

Ściany tunelu skonstruowane są z betonu i cementu. Nawet jedno ziarnko piasku nie potrafi przeniknąć przez tę silną zaporę, która ciągnąc się przez 2.110 m. nie zbacza w żadnym kierunku nawet na 3 milimetry. W wypadku najmniejszego skrzywienia, tunel narażonyby został na wtargnięcie doń piasku i wody. Kilka miesięcy temu podobny wypadek miał zresztą miejsce zdarzył się on w chwili, gdy następowała zmiana robotników. W ciągu jednej sekundy do tunelu wtargnęły zwały gliny i piasku, lecz specjalne maszyny zamnęły momentalnie otwór i następnie dięki pomocy wojska i zmobilizowanej armji robotników zapobiegnięto katastrofie.

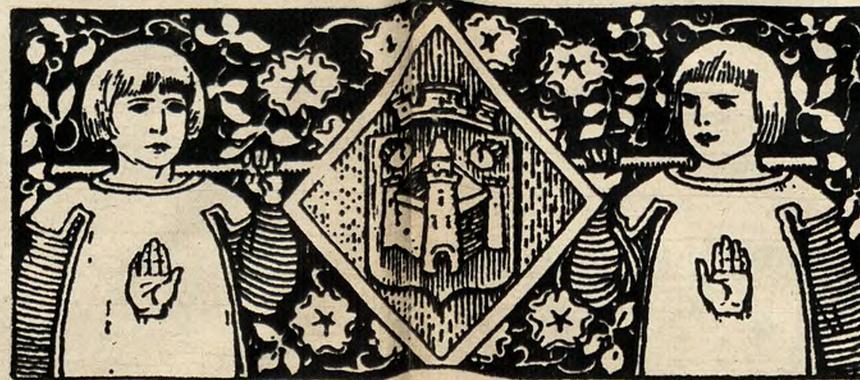
Ciekawą jest rzeczą, iż pomimo pracy w tak ciężkich warunkach, do chwili obecnej poza straceniem przytomności przez pracujących, co jest tam zresztą na porządku dziennym, nie miała miejsca żadna katastrofa.

Hajot.

Widok portu w Antwerpji. Na prawo widoczny zamek Steen, zamieniony obecnie na muzeum.



Widok z bulwaru św. Anny na Antwerpję. W pośrodku rzeka Skalda, pod którą przekopano tunel, który połączył obie części miasta.



Godło miasta Antwerpji.



Tunel pod Skaldą. Wnętrze tunelu dla pieszych.

PŁACIĆ, PRZEDEWSZYSTKIEM PŁACIĆ!



Grudniową ratę, należną Ameryce, z pośród państw europejskich zapłaciła tylko Anglja, Czechosłowacja, Łotwa, Włochy i Litwa. Na zdjęciu przewożenie angielskich skrzynek ze złotem z okrętu „Majestic" do samochodów pancernych w Nowym Jorku. Schert.

Ach te długi amerykańskie! Przeciętny śmiertelnik tyle wie tylko o nich, że są to długi, których nie należy płacić. Ameryka natomiast jest zupełnie innego zdania. Twierdzi bowiem, że płacenie tych długów jest największą cnotą. Europa jest jednak stanowcza i odpowiada dobitnie i wyraźnie: nie! Wprawdzie z zasady tej wyłamała się Anglja, Włochy i podobno Litwa, ale wyjątki potwierdzają tylko regułę.

Wogóle z tem płaceniem, to jest coraz gorzej, a cała ludzkość przedstawia łańcuch ludzi, w którym jeden dusi drugiego, każdy zaś boi się popuścić, aby przypadkiem dłużnik nie uciekł mu.

Mój Boże, gdzie to się podziały te dawne solidne czasy, kiedy terminu płacenia zobowiązań, czy weksli przestrzegano z największą starannością?

Dziś weksel, protest a nawet i licytacja przechodzą bez najmniejszego wrażenia. Nie płacą państwa, magistraty, urzędnicy, rękodzielnicy, Zosie, Stasie i Marysie, uważając, że jeżeli wolno Francji, to i także im. Dlaczegóż zresztą jakiś p. Kłaczek, urzędnik XII-go stopnia ma się wstydzić, że zajęto mu meble, skoro magistrat sławetnego miasta Suwałek także na rzecz komornika postradał wszystkie ławy i stoły.

T. zw. sfery decydujące mają na to wszystko jedno lekarstwo: zacisnąć pasa, ale co robić, gdy ktoś sprzedał już ten pas, albo nosi szelki?

Co będzie zaciskał!

Całe szczęście, że wszyscy łudzimy się, że Nowy Rok przyniesie nam jakąś odmianę. Może moratorjum, może główną wygraną na loterji a może pudełko od sardynek? Możliwości są bardzo wielkie.

A teraz po tej krótkiej bajeczce morał: (w każdej bowiem bajeczce musi być morał).

Są jeszcze tacy naiwni, którzy płacą i to punktualnie. Płaczą, ale płacą. Popatrzcie na tą fotografję. Widzicie na niej skrzynki ze złotem, przewożone z jednej piwnicy do drugiej, czyli z Anglji do Ameryki.

Anglja bowiem płaci.

Polska także zapłaci. Od czegóż ma „N. K. N.", do którego już od 1914 r. kierują wszystkie rachunki „niebogaci"...

J. L.

STEFAN NOWIŃSKI
co było i co będzie

CHARLIE

Jeden z naszych młodych kolegów, obiegłszy miasto lotem szrapnela, pękł wesoło w redakcji i wypisał, że Kraków szalał w noc Sylwestrową. Zapełniły się do cna wszystkie lokale (tak on to widział), wypróżniały się masowo butelki i kieliszki, kurzyły ondulowane grzywki i łysinki, a kipiący tłum wiwatował, ciesząc się, jak nagi w pokrzywach.

To jednak nieprawda!

Jak nigdy poważnie spłynął do nas z hejnałem wieżycy Marjackiej nowy okres życia... rok 1933.

Może się kto i cieszył, ale ogół oddał się poważnej konsumpcji nadziei a głównie ulgi, że przeżywszy rok wszelkich okropności powojennych, doczekamy się wreszcie redukcji, a może i eksmisji stagnacji.

Aczkolwiek złośliwi twierdzą, że nadzieja nie ma mądrych dzieci, mimo tego jednak ma ich coraz więcej, bo przecie wszyscy nie mogą i nie chcą zmieścić się w brygadzie wyścigowców pracy.

W doniosłym momencie uderzenia godziny 12-tej nie całe miasto spało, wielu udawało rozbawionych do szaleństwa przy pomocy drugiego małego piwa, lub dziesiątego kieliszka siwuchy.

W niektórych lokalach był odświętny nastrój szabasowy, goście trącając się cierpkim sikoniem, przeważnie klęli na ten rok, który nas odbiegał.

Aż nieprzyjemnie było słuchać, jak źle o nim mówiono. Pobieżne obliczenia ustalają bilans wypitków w noc Sylwestrową następująco:



17 flaszek szampana z za Karpat, 7981 butelek Giesshueblera, 2 cysterny wody sodowej, kilka tysięcy małych białych i czarnych kaw, 12 kg. winogron, oraz 43 sztuk bananów surowych.

Na Pogotowiu wyrwano trzem pacjentom po zębie trzonowym, a parę zebrań towarzyskich likwiduje się jeszcze przy pomocy p. Boziewicza.

Kraków jednak, ten poważny, a zdaje się, że podobnie też i inne miasta, siedziały spokojnie w domu i dumały nad niespodziankami Nowego Roku.

— Co też nam przyniesie?

Bajki bowiem w życiu nie spełniają się, chyba, że przy pomocy loterji klasowej, jak np. wygrana na los fałszerza losów loteryjnych, który miał tylko jeden los prawdziwy i na ten właśnie wygrał 10.000 złotych...

Już dzisiaj można na pewno powiedzieć, że kryzys minie, głównie jednak dla tych, którzy przy pomocy nagłej, lub spokojniejszej śmierci likwidują swe interesy na naszej planecie. Poprawa jest pewna w coraz bardziej doskonalących się metodach walki z luksusem i filisterskim dosytem. Wiosna, która niewątpliwie wybuchnie w okresie od 20 marca do 20 maja, przyniesie ogólne zazielenie także i w głowach politycznych. W czasie od 15-go kwietnia do 17 września umrze pewna wybitna osobistość, którą opłakiwać będzie, oprócz najbliższej rodziny, także i Liga Narodów. Osobistość ta może jednak nie umrzeć, co nie zmieni ucuć jej familji, jak i nastrojów politycznych nad Lemanem.

Rok ten nie będzie obfitował w katastrofy, powodzie bowiem z nieuregulowanych rzek — jak i stałe deficyty wszelkich budżetów od państwowych aż do prywatnych, nie są już bynajmniej katastrofą, gdyż stały się zjawiskiem notorycznem.

Ze zjawisk społecznych najważniejszem będzie przyjęcie się ogólne mody obywatelskiej: dziurawych butów i kieszeni. Moda ta, ogólnie wprowadzona, wpłynie znakomicie na nastrój społeczeństwa, zaszczepi ogólnie optymizm i angielskie poczucie własnej wartości bezpośredniej.

Przemysł zakwitnie ogólnie, zwłaszcza w ogródkach koło przymkniętych fabryk, rozwinie się wspaniale handel i handeles przy pomyślnej konjunkturze międzynarodowej, biorącej od nas masowo wzory na krzywe obcasy i nosy.

Słowem... „jakoś to będzie". Qui vivra, verra...

Ś. Now.



W 15-LECIE CZEREZWYCZAJKI. Jak Dzierżyński „urzędował“ w Homlu?

Poniżej drukujemy wyjątek z mającej się niebawem ukazać książki Bogdana Jaxy-Ronikiera p. t. „Dzierżyński“, „Czerwony Kat“. Autor z szefem czerezwyczajki rosyjskiej poznał się w więzieniu warszawskim, jeszcze długo przed wojną a później spotkał się z nim dwukrotnie raz w Moskwie a potem w Homlu. Jako motto swojej książki użył p. Ronikier cytatu ze słynnego filozofa Spinozy: „Nie płakać, nie śmiać się, jeno rozumieć...“. Istotnie: Czytelnik tej książki nie znajdzie nigdy okazji do śmiechu, przynajmniej do tego prawdziwego, nie zamąconego żadną goryczą. I płacz byłby tutaj zbędny, bo chociaż w książce, przedstawione są niejednokrotnie wstrząsające okropnością sceny, to i inne opisy rządów bolszewickich, równie okrutnych, odzwyczaiły nas już od płaczu. Pozostaje tylko rzeczywiście „zrozumienie“. To w stosunku do Dzierżyńskiego książka p. Ronikiera znakomicie ułatwia. „Czerwony kat“ występuje w niej jako jeden z tej pierwszej „generacji“ bolszewików, których dusza była jakiemś dziwacznem połączeniem okrucieństwa w życiu publicznem a łagodności w prywatnem, wściekłej pasji na zewnątrz a odruchów sentymentalizmu w wyjątkowych chwilach wewnętrznego skupienia, bezdusznego materjalizmu i niemal mistycznego umiłowania piękna. Drugie pokolenie bolszewików, które dzisiaj Rosją rządzi, już się tej dwoistości wyzbyło, już jest zdecydowanie zmaterjalizowane, bezwzględne i okrutnie doktrynerskie. I jedno jeszcze w książce p. Ronikiera występuje plastycznie na jaw. Dzierżyński był z pochodzenia Polakiem i polskość swą, przed oczyma obcych w głębi duszy na tysiąc spustów zamkniętą, ujawniał jakby instynktownie, sporadycznie w spotkaniu z rodakami. I to także już do przeszłości należy. Dzisiejsi rządcy Rosji wypruli z siebie już wszelki „nacjonalizm“.

Przyp. Redakcji.

Nie będę opisywał moich przygód po wypuszczeniu mnie na wolność w Piotrogrodzie. Ciężkie bardzo były czasy, śmierć groziła mi na każdym kroku. Wreszcie udało mi się poznać zacnego człowieka, Edwarda Sawickiego, urzędnika kolejowego ze stacji Homel na Białej Rusi, bawiącego tylko chwilowo w stolicy u narzeczonej. Wzruszony moją niedolą, zabrał mnie z sobą do Homla i wystarał mi się o posadę magazyniera kolejowego, czy stróża, wszystko jedno, zajęcie i „pajok“, czyli bardzo marne, ale regularne rządowe jedzenie.

Tu zetknąłem się z Dzierżyńskim po raz trzeci, ale w warunkach tak niezwykłych i napozór mało prawdopodobnych, że muszę szczegółowo opowiedzieć ten barbarzyńsko-krwiożerczy epizod.

Posada moja i wogóle cały zarząd kolejowy w Homlu, jak zresztą wszędzie w Rosji w owym czasie, był niezwykłego typu. Człowiek, przyzwyczajony do normalnych stosunków życiowych, takich porządków nie zrozumie nigdy.

Czy można sobie wyobrazić dużą stację węzłową, na której pociągi przychodzą i odchodzą, kiedy się komu podoba: — maszyniście, konduktorom, naczelnikomi stacji, któremuś z władz miejscowych, lub wpływowych podróżnych? Mógł jakiś pociąg z pasażerami i 3 doby wcale nie odejść, jak to raz miało miejsce, kiedy żona jednego maszynisty leżała w ciężkim połogu, a on nie chciał kobiety odstąpić. Żeby być pewnym, że bez niego i jego parowozu nie puszczą, coś tak pokręcił w mechanizmie, że nikt nie mógł się doszukać, co zrobić, by maszynę w ruch wprowadzić. I nic mu za to nie było.

Nie wszędzie i nie zawsze trzeba było płacić za bilet.

Cena za przejazd była dowolna. Tchórzliwy burżuj kupował bilet przeważnie konspiracyjnie przez pośrednika, bo bał się oficjalnie podejść do kasy. Przy kasie targowano się o bilet z kasjerem, jak z przekupką. Bolszewik z rewolwerem w ręku dostawał bilet darmo, pod koniec miesiąca za wszystko płaciło się drożej, niż na początku, bo pod koniec potrzebne były pieniądze dla opłaty personelu, który pensje pobierał bez określonej normy, jak na godnych komunistów przystało. O możliwości przewożenia towarów nie było mowy. Magazyny kolejowe stały otworem, a wszelkie rzeczy, dostawione na dworzec, były jawnie rabowane. Tak samo i wagony towarowe. Skrzynię, wysłaną, dajmy na to, do Wiaźmy, przejmowano, rozpakowywano samowolnie w Smoleńsku, lub gdziekolwiek po drodze, i dzielono się jej zawartością najspokojniej na peronie.

Wogóle jakikolwiek urzędowy sprzeciw był nie do pomyślenia. Każda stacja żyła swojem życiem, kierowała się własnemi interesami, wzywając sąsiednią do współpracy o tyle tylko, o ile trzeba ją było zainterpelować, czy w danym okresie czasu będzie tor wolny i można bez ewentualnego wypadku pchnąć pociąg w tym kierunku.

My w Homlu zwłaszcza żyliśmy jak na cichej wyspie wśród burzliwego oceanu. I dlatego zażywaliśmy wyjątkowych wywczasów.

Nasz naczelnik stacji Iwanow, żył w bliskiej komitywie z głównym komisarzem miasta, Przecławskim, którego szwagier, Ulitkin, był u nas pomocnikiem naczelnika. Czegóż więcej potrzeba? Sam komisarz, Polak z pochodzenia, był niegdyś oficerem dragonów w pułku imienia cesarza niemieckiego, potem pomocnikiem miejscowego policmajstra, żonaty z utrzymanką hr. Ignatjewa, który ją suto wyposażył. Musiał więc być arystokratycznie „usposobiony“. Głową miasta był tu przed wojną też Polak, człowiek starej daty, Dąbrowski, i chociaż zniesione było teraz to stanowisko, jednak zachował on swoje wpływy lokalne. Stara Duma miejska na placu Miljonowym cieszyła się nadal szacunkiem i tutejsza Cze-ka na Bojarskiej liczyła się z jej zdaniem.

Stąd nastrój w Homlu był wogóle dosyć konserwatywny i, naprzykład, właścicielki majątków okolicznych, hr. Paskiewiczowej, nikt z jej pałacu i parku w mieście narazie nie ruszył. Popi chodzili swobodnie po ulicach, u wielu mieszczan wisiały w pokojach bezkarnie ikony świętych i portrety rodziny cesarskiej. Biedota, gnieżdząca się przeważnie na przedmieściach Bielicy i Rowie za rzeką Sorzem, siedziała cicho, jak mysz pod miotłą, mało wiedząc o wszechrosyjskich rewolucyjnych swobodach. Coś do zjedzenia z miejscowych produktów można było zawsze dostać na targu i czekało się, co dzień jutrzejszy przyniesie, bez zbytnich obaw na przyszłość.

Przewidujący ludzie, czy pesymiści, stale wprawdzie powtarzali, że nieporządki, rozpanoszone na kolei, wiecznie trwać nie mogą, ale nie braliśmy tego pod uwagę. Zresztą, cóż my sami mogliśmy na to poradzić? Dochodziły do nas wprawdzie głuche wieści, że Moskwa urządza próbne karne naloty, mające na celu ukrócanie tych nieporządków, ale jakoś wciąż nam się zdawało, że Rosja wielka i że to naszą boczną linję Mińsk — Bachmacz stanowczo ominie.

Naraz piorun z jasnego nieba.

Nasz telegrafista, poczciwiec, Ołonienko, rzeczywiście idealny człowiek pod każdym względem, chociaż nie umiejący podobno telegrafować, wpada, jak dziś pamiętam, w samo południe, 25 września (1918), do gabinetu naczelnika, który właśnie najspokojniej grał z drugimi w karty, blady, jak trup, z paskiem depeszy służbowej w ręku. Głos mu odjęło z wrażenia. Telegram z Kurska donosił, że od Samary, Penzy jedzie w stronę Tambowa pancerny pociąg, lokomotywa i trzy wagony, pełne czekistów, że poprzedza ich rozkaz do wszystkich kolejarzy, żeby cały personel każdej stacji stał służbowo na peronie podczas przejazdu tego pociągu, że pociąg zatrzymuje się nie wszędzie, ale po drodze strzela ze strzelnic swoich do ludzi, a gdzie się zatrzyma, tam wydaje wszystkim „krwawy manifest“.

Naczelnik Iwanow nie uwierzył Ołonience, nazwał go Osłonienką, ale depeszy sprawdzić nie mógł, bo się również na telegrafowaniu za mało rozumiał. Na wszelki wypadek jednak wezwał nas wszystkich (dużo urzędników nie przyszło dnia tego wcale na służbę!), będących na stacji, i wydał odpowiednie rozkazy: kasjerowi — że ma pobierać ścisłe normy za bilety, swemu pomocnikowi — że trzeba wznowić stały rozkład jazdy, mnie powierzył sprawdzenie zwrotnic i semaforów, a do każdego z nieobecnych wysłał przez starego emeryta, Matwieja, do domu na osadę kolejową, pod lasem Łubieńskim za torem, ostre wezwanie, że od jutra mają się wszyscy znajdować na stanowiskach.

Potem w kilku obejrzeli magazyny, na gwałt ponaprawiali zamki, kazali wybielić ustępy, uruchomić pompy na wszelki wypadek, nawet polecili ściągnąć z ul. Rumiancewa restauratora Szanowicza, którego uprzedzili, że ma z godziny na godzinę uruchomić bufet koniecznie z wódką za jakąkolwiekbądź cenę, chociaż wiadomo było, że to właściciel hotelu i kinematografu, gospodarz klubu kupieckiego, arystokrata i burżuj zaklęty.

Pomocnik naczelnika, Ulitkin (ów szwagier komisarza Przecławskiego!), któremu przepowiadali wielką karjerę polityczną z powodu „bujnych“ jego pomysłów, poważnie proponował, czy nie byłoby raczej wskazanem dla przykładu przytrzymać Szanowicza pod kluczem, a w ostatniej chwili, gdyby pociąg podchodził, zastrzelić go, żeby „świeży, skrwawiony“ trup kontr-rewolucjonera na peronie „ozdabiał“ dworzec i świadczył wymownie o oddaniu homelskiego personelu kolejowego dla idei sowieckiej. Jednak ta propozycja upadła — najlepszy dowód, jakimi konserwatystami byliśmy tu wszyscy.

Niestety przyszedł drugi telegram już — z Tambowa i przejął nas jeszcze więcej. Tym razem uwierzyliśmy Ołonience, nie potrzebował, jak poprzednio, przysięgać na Pana Boga. Pomyśleć: w Homlu jeszcze się wtedy na „to“ przysięgało! Telegram brzmiał: „Pociąg tylko co minął naszą stację, nie zatrzymując się. Padły z niego 3 strzały. Pomocnik naczelnika raniony śmiertelnie, dwaj urzędnicy lekko. Pojechali dalej — Bóg z wami!“. (Mowa o Bogu przez duże „B“ w oficjalnej korespondencji sowieckiej — nie do wiary!).

Teraz cała nadzieja była w tem, że i Homel przejedzie i najwyżej którego z nas z pociągu ukatrupią. Pomocnik naczelnika dostał nagle kurczy żołądka i musiał się położyć. A co? Czy ten człowiek nie ma zawsze świetnych pomysłów? Obliczyliśmy czas mniej więcej i na jakąś godzinę przed spodziewanym przejazdem pociągu wyciągnęliśmy się wszyscy według starszeństwa na peronie, z chrześcijańską rezygnacją gotowi przyjąć kulę na stanowisku. Czekaliśmy cztery godziny bez ruchu, drętwiejąc w męczącym niepokoju; wreszcie zdala ukazał się znamienny dymek, coraz bliżej i ciężki pancerny pociąg wtoczył się na naszą stację, ale tak zwalniając, że ani na chwilę nie mogliśmy wątpić, iż się zatrzyma.

Ledwie stanął, trzęsący się nasz naczelnik podszedł służbowo do otwierających się z paskudnym zgrzytem drzwiczek wagonu. O mało nie krzyknąłem: wysiadł z nich pierwszy — Dzierżyński!... Za nim wysypało się kilkudziesięciu czekistów: chłopy, jak djabły. Wszyscy z nas poznali Dzierżyńskiego. Zabójczy przestrach osiadł na obecnych. Zrozumieliśmy, że to śmierć przyjechała. Naczelnik Iwanow podchodzi do Dzierżyńskiego i próbuje mu się meldować.

— Nie nado!... — wstrzymuje go ten pogardliwym ruchem.

Część czekistów tworzy odrazu czworobok ochronny wokół swego komendanta, część przez dworzec wybiega na miasto. Dzierżyński nie zwraca najmniejszej uwagi na stojący w pobliżu personel i zaczyna rozporządzać się półgłosem wśród swoich. Po chwili znalazły się — stół i krzesło najwidoczniej dla niego i szereg ławek, które ustawiają zboku. Prawie jednocześnie czekiści wprowadzają na peron, goniąc przed sobą, jak bydło, tłum, kilkudziesięciu ludzi z miasta, złowionych zaraz na ul. Zamkowej i powyciąganych z dwóch przyległych do dworca hoteli — Złotej Kotwicy i Metropolu, na chybił-trafił. Wszyscy nad wyraz przerażeni i przekonani, że nastała ich ostateczna godzina.

Naraz przez ciżbę nowowprowadzonych i czekistów przeciska się bezczelnie kilkunastu ludzi pod wodzą jednego małego z dużą czapką i jeszcze większą gwiazdą na niej.

Ten podchodzi śmiało do Dzierżyńskiego, prostuje się dumnie i powiada:

— Ja, towarzyszu komisarzu Dzierżyński, miejscowy komisar Przecławski — i wskazując: — a to moja drużyna!... Z komunistycznem pozdrowieniem!... — przedstawia się i wyciąga rękę do „towarzysza“.

Ale ten, zamiast swoją podać, w milczeniu nachyla się nad nim i zaczyna mu się zimno z góry przyglądać. Skutek był piorunujący. Miejscowy dygnitarz, objęty widać nagle dzikim lękiem, zdziera sobie czapkę z głowy, która mu odrazu z ręki wypada, i, potykając się, cofa się do tyłu. Z nim razem w tym samym nastroju wszyscy jego ludzie. Dzierżyński najspokojniej siada na krześle za stołem, kładzie na nim ostentacyjnie nagan i umieszcza obok swoje papiery. Pisze coś, daje znak i dwaj czekiści podprowadzają do niego jednego z tylko co pojmanych na ulicach Homla. Starszy człowiek, schludnie z mieszczańska odziany, wyraz twarzy poczciwca, bardzo wypłoszony.

— Kto ty? — pyta go się Dzierżyński.

— *Zdiesznij żytiel* — odpowiada zapytany drżącym głosem.

Dzierżyński niedbałym ruchem ręki przywołuje miejscowego komisarza, stojącego ze swymi ludźmi na uboczu, i ostro do niego:

— Kto on?

Na to komisarz potulnie: — *Tak toczno... domowładzca, był głasnym...*

Twarz Dzierżyńskiego skurczyła się jakoś potwornie. Ten jego uśmiech, odsłaniający bezzębne dziąsła, stawał się coraz bardziej złowrogi.

— Zamilknie — mruknął i wykonał nieznaczny ruch ręką nabok.

Czekiści jego, patrzący mu w oczy, jak w obraz, zrozumieli i w jednej chwili pociągnęli osłupiałego starszego pana w tylne szeregi. Rozległ się strzał, krzyk, trzepotanie się — wiedzieliśmy, co to znaczy: rozstrzelany! Komisarz Przecławski, blady, jak ściana, chciał się cofnąć zpowrotem.

— Stać tu — warknął mu twardo Dzierżyński i przykuł tym rozkazem do miejsca chwiejącego się, jak łoza, „kolegę“. Dzierżyński już dalej rozporządza się: — Następny...

Czekiści podają drugiego pojmanego — wyraźnie robociarz.

Dzierżyński do niego: — Ty kto?

— Koźlarz miejscowej cegielni...

Dzierżyński spojrzał znacząco w stronę komisarza, ten potakuje. Dzierżyński do czekistów: — Puścić go... — Puszczają. I do ceglarza: — *Sadiś,*

Ciąg dalszy na stronie 16-tej.



Feliks Dzierżyński, szef czerezwyczajki, zmarły w 1926 roku. Urodził się w r. 1877 r. w Dzierżanowie w pow. oszmańskim na Wileńszczyźnie.

Dokończenie ze strony 1?-tej.

towariszcz... — i wskazuje mu ławki rzędem obok.

Robotnik, dumny i zadowolony, rozsiada się na pierwszej ławce. Dzierżyński robi przegląd wszystkich przywiedzionych i zawsze to samo — odpowiednio do typu człowieka: albo jednemu wskazuje ławkę i każe mu siadać, albo drugiego wysyła na śmierć. Wtedy słychać zawsze huk wystrzału z odpowiednim strasznym wtórem mordowanej ofiary.

W ten sposób na ławkach zboku znalazło się kilkanaście osób — postacie najrozmaitsze, ale wyłącznie z pośród prostego ludu, przeważnie mężczyźni, trzy tylko kobiety, dwie stare, jakieś służące, czy wyrobnice, jedna młoda, bezczelna, chyba ulicznica!

Teraz Dzierżyński wstaje od stołu i podchodzi do personelu stacyjnego, wciąż jeszcze stojącego rzędem frontem w służbowej postawie.

Zkolei śmierć do nas podeszła!

Milcząc, ogląda urzędników. Na mnie jakoś nie zwrócił uwagi. Twarz jego nie ma żadnego wyrazu, z którego możnaby wnioskować, co myśli, co zamierza. Pod jego wzrokiem ludzie wprost przysiadają. Jeden z nich, zastępca naszego kasjera, o historycznem nazwisku — Biron (zdaje się od „naszych"), pozujący na wielkiego komunistę, specjalnie aż upadł na kolana.

Dzierżyński do niego nagle: — Stać nie umiesz?... Położymy cię... — i do swoich czekistów: — Pod ścianę z nim... — Pociągnęli go z przewlekłym jękiem. Tak zaczęto nas mordować.

Kiedy rozstrzeliwano nieszczęśliwego, Dzierżyński obojętnie powrócił na swoje miejsce przy stole: — Podawać mi teraz tych — wskazał czekistom.

Dwóch z nich chwytają naczelnika stacji i prowadzą do komendanta.

— Nazwisko? — pyta on go.

— Iwanow — odpowiada zapytany mętnym głosem. — Naczelnik stacji, urzędnik klasy 6-tej... kawaler krzyża zasługi... ja...

— Ty?... Krzyżem? Każdy kawalerem swojego krzyża... — wyszczerzył wstrętnie do niego bezzębne szczęki Dzierżyński i wracając się do ludzi, siedących na ławkach: — Macie co przeciwko niemu?...

Naraz głos z ławki: — Nie puszcza w porę pociągów...

— Nie puszcza?... — podchwytuje Dzierżyński i odrazu do trzymających Iwanowa czekistów: — Puścić jego samego... w rozchód!... Następny!...

I w chwilę potem słyszymy (kto ma jeszcze przytomność słyszeć!), jak wystrzał z rewolweru zabija człowieka.

Stawiają następnego: pomocnik naczelnika, Ulitkin.

— Ja — komunista — melduje odrazu przy swojem nazwisku.

Wiadomo, Ulitkin ma zawsze świetne pomysły!...

— Komunista? Nie... *znaczit, towariszcz...* — potakuje Dzierżyński.

Ulitkin rośnie, jak na drożdżach. Co, nie cwaniak? Wykręci się...

Dzierżyński, zwracając się do ludzi na ławkach: — A przeciwko temu macie co?... — I gra mu na ustach jego potworny uśmiech.

Stara baba na ławce przełyka ślinę, żeby wydobyć głos z zaciśniętej krtani i odzywa się: — Spokoju nie daje dziewczynom...

— Jej — robi uwagę koźlarz z cegielni i spluwa daleko przed siebie...

Śmiech na ławkach. Dzierżyński uśmiecha się również. Ach! Znów ten śmiech jego — wstrząsający!... Ulitkin odrazu traci pewność siebie.

Dzierżyński: — Ma prawo — komunista... — i niespodzianie do czekistów: — Dać mu dziewkę-kulę...

Ulitkin mdleje, wywlekają go bez życia i — strzał. Dzierżyński obojętny, jak figura z wosku. Podprowadzają następnego. Dosyć rześki.

— Ja Filipow, kasjer — melduje donośnym głosem. — Krewny towarzyszki Krupskiej, żony Lenina... Można sprawdzić...

Dzierżyński zdaje się uwagi nie słyszeć. — Sprawdzi się — wstawia jednak. I dalej: — Macie co przeciwko niemu?...

A koźlarz gęstym basem: — Drobnych reszty nie wydaje...

— Nie wydaje?... — Jakby dziwi się zlekka Dzierżyński. — A krewny Krupskiej... Wydać go całego... — i ruch ręką.

Filipowa chcą odprowadzić nabok. Rzuca się, chce wymyślać — nie zdążył... wyrok wykonany!...

Ta sama historja powtarza się kilka razy. Wszystkich Dzierżyński wysyła na śmierć. Ubój— rzeźnia! I mnie to nie minie. Czuję, że mi bystrość obserwacji tępieje, że mi dusza w piersiach zastyga. Naraz budzę się podwójnie niespokojny. Słyszę meldunek:

— Sawicki, pomocnik telegrafisty — i głos Dzierżyńskiego trochę jakgdyby inny: — Sawicki? Czytaliście Mickiewicza?...

— Czytałem...

— A co wam się z niego wydaje najlepszem?...

— Pan Tadeusz...

I pada rozkaz, niepodobny do poprzednich dotąd: — Do wagonu z nim...

Czekiści kierują Sawickiego zupełnie w inną stronę. Oszczędził Polaka!

— Następny!...

Wyprowadzają — Ołonienko, nasz zacny telegrafista.

Dzierżyński do ludzi: — A przeciwko temu?...

Cisza. Milczenie. Ołonienko uśmiecha się głupkowato. Ale uśmiech jego odrazu wietrzeje.

— Nic na niego nie macie?... — pyta dalej Dzierżyński. — Znaczy się — ideał! Ideałów nam nie trzeba na Rusi... pod ścianę z nim!...

I nieszczęśliwego Ołonienkę zaraz zabijają, jak lada łotra, jak psa!...

Rozpacz mnie ogarnia dzika. Zapominam, że to na mnie kolej. Podnoszę oczy, patrzy na mnie Dzierżyński. Nic w jego skośnem spojrzeniu nie widzę, ani zdziwienia, ani życzliwości, nic... Toń obojętności — śmierć!

— Czem byliście przedtem?... — Ton obojętności, jak do innnych.

I ja, ni stąd, ni zowąd: — Świniopasem!... — wypalam mu, sam nie wiedząc dla czego. Śmierci i tak nie ujdę!...

A Dzierżyński poważnie na to: — Właśnie takiego nam potrzeba... Do wagonu z nim!... — Nie skazał!...

Ze strzelnicy wagonu, z góry, widzę wyraźnie dalszy ciąg wypadków.

Dzierżyński wstaje i komenderuje na swoich czekistów: — Stać w szeregach... równaj się...! Czekiści wyciągają się w linję po wojskowemu. Są też onieśmieleni. Dzierżyński do pierwszego z brzegu: — Czem był przed wojną?

— Rybakiem — odpowiada ten.

Dzierżyński zostawia go i do następnego: — A ty?...

— Pomocnikiem gminnego pisarza...

Dzierżyński: — Występuj naprzód... Ten występuje. Dzierżyński do następnego: — A ty?...

— Sachalińczyk...

— Brat-katorżanin — i Dzierżyński, nic nie mówiąc, idzie dalej. I do następnego:

— A ty, towarzyszu?...

— Robotnikiem.

Dzierżyński do niego: — Występuj!...

Wywołany robi krok naprzód.

I w ten sposób komendant segreguje swoich ludzi: jednych pozostawia na miejscu, drugich wybiera do czegoś. Wyróżnił tą drogą kilkunastu czekistów. Wraca do szeregu od początku i do pierwszego z tych, którym kazał wystąpić: — Byłeś pomocnikiem pisarza?... Mołodiec! Będziesz teraz tu narzelnikiem stacji... (i do następnego).— Stróż u zegarmistrza?... Będziesz telegrafistą... (i do następnego). — Chłopcem od rzeźnika? Będziesz pomocnikiem naczelnika stacji... (i do następnego). — Czeladnikiem szewskim? Będziesz pomocnikiem telegrafisty... (do następnego). — Kelnerem?... Będziesz kasjerem... — I w tym sensie przygodnymi czekistami poobsadzał wszystkie posady na dworcu w Homlu, nawet najbardziej odpowiedzialne stanowiska kolejowe!..

Wówczas zwrócił się do nowomianowanych urzędników z partyjną przemową uroczyście: — Trzymać się ostro, towarzysze, zwycięski proletarjat powołuje was do pierwszorzędnej pracy dla kraju. Każdy musi spełnić ściśle swoją powinność. Doskonale potrafi. Kto czego nie będzie wiedział, niech się od kolegów z sąsiednich stacyj nauczy!.... A pamiętajcie, że pracujecie na chwałę i korzyść was samych... Nie wolno wam czegoś nie umieć. Ja za 2—3 miesiące znów tu do was przyjadę sprawdzić posterunki...

Wyobrażam sobie, jak niechętnie usłyszeli wybrani te ostatnie słowa.

Dzierżyński tymczasem, bez przerwy, zwracając się do miejscowego komisarza, wciąż trzęsącego się ze strachu: — Wam chłodno, że wami coś tak łopocze?... To nic, przejdzie... Dacie mi, towarzyszu, z pośród waszych najzdatniejszych zaraz... czternastu, tak czternastu ludzi dla zastąpienia tych, których tu wam zostawiam... Pilnujcie, żeby im nic nie brakowało...

— *Słuszajuś* — na to komisarz pokornie i podskoczył, by spełnić rozkaz Dzierżyńskiego. Ten go wstrzymał.

— Ale... tu gdzieś ma być podobno duży pomnik jeźdźca na koniu?...

— Był — odparł skwapliwie Przecławski — w parku. Taki białogwardzista w koszuli, jak na rozstrzał — spróbował być dowcipnym i zaraz dalej: — Tam takich figur więcej... uszkodzone... On, zdaje się, też... może nawet połamany....

— Połamany?... — Oburzył się Dzierżyński*). — Thorwaldsen!... Pozbierać w razie czego wszystko starannie i zabezpieczyć.

Słuszajuś...

— A baczcie, by nic do niego nie brakowało, bo, wiecie, — kula w łeb!...

*) Mowa tu o posągu ks. Józefa Poniatowskiego — dzieło Thorwaldsena — stojącym dziś na placu Marsz. Piłsudskiego w Warszawie. (Przyp. red.).

Dzierżyński, obróciwszy się na pięcie, bez żadnego pożegnania skierował się wolno do swego wagonu. Czekiści za nim.

Jeszcze kilka chwil i pociąg ruszył, pozostawiając na miejscu wszystkich, mocno wstrząśniętych, i pokotem obojętne trupy, ułożone jeden przy drugim pod ścianą dworca, jak bita zwierzyna po polowaniu, na rozkładzie.

I to wszystko działo się w moich oczach, w Europie, w 20 stuleciu, w jednem z zachodnich miast dzisiejszej sowieckiej Rosji.

Miejscowy komisarz, ujrzawszy odjeżdżający pociąg, nagle poczuł w sobie przypływ powracającej energji i miłości do swojej wyższej władzy.

— Wszechwładna Rada komisarzy Związku włościańsko-robotniczego niech żyje! — wrzasnął nieludzkim głosem, salutując. Nikt go nie podtrzymał. — I mać ich... — tu ich zbeszcześcił. Właśnie ostatni wagon, mój wagon, mijał stację. Dodał jeszcze ciszej, tak cicho, że on jeden to chyba usłyszał (mam wyjątkowy słuch!): — *Ut czorta na tołkuczce...*

Potoczyliśmy się w stronę Mińska. Zaraz zacząłem pełnić normalną służbę czekisty. W Mińsku, przy wysiadaniu, oczy moje spotkały się ze spojrzeniem Dzierżyńskiego. Żadnej zmiany, żadnego wyróżnienia: nie znaliśmy się.

W Mińsku miał Dzierżyński cały szereg spraw, związanych z komendą miejscowej Czeka w jej gmachu przy ul. Zacharjewskiej, w pobliżu wielkiego mostu. Poza tem przybył tu, żeby wystąpić na Zjeździe Centralnego Komitetu „Bundu", z którym miał omówić sporne kwestje.

Nas pomieścili gościnnie w koszarach na Błagowieszczeńskiej. Dzierżyński, jak zawsze, mieszkał z nami, w małym pokoiku od podwórza.

O 1-szej w nocy zbudzono mnie, Sawickiego i jeszcze jednego żydka z Łodzi. Kazano nam się ubrać, uzbroić i do samego Dzierżyńskiego. Pracował jeszcze. Podobno ferował wyroki śmierci na odległość. Nie odrazu zwrócił na nas uwagę.

— Macie dziś, zaraz, sprawdzić posterunki graniczne wzdłuż źródeł Niemna w okolicy osady Uzdy... konno — odezwał się wreszcie — i zdacie mi raport. Sprawdzać cichutko. O ile straży w ruchu na stanowiskach nie będzie, odnaleźć ich po domach i sprowadzić do mnie... — ręką nas odprawił.

Wychodziłem ostatni. Dzierżyński pierwszy raz spojrzał przenikliwiej.

— Spodziewam się was więcej tutaj nie zobaczyć... — warknął pod nosem i odrazu pochylił się nad zapisanym na stole papierem,

We trzech wyruszyliśmy na koniach.

Koniec września był tego roku (1918) pogodny i cichy. Noc, choć, pamiętam, bez księżyca, miała swoją miękką poświatę, którą srebrzyła lekkie opary, stwarzając jakieś bajeczne, nieruchome, jakby wodne przestrzenie w oddali. Raz po raz nocny ptak wydawał przenikliwy krzyk, przerywając uroczystą ciszę. Z podmuchem wiatru z zachodu szły ku nam ciepłe, upojone zapachy. Wydało mi się, że to ojczysta Polska wpobliżu wita nas aromatem swoich, świeżo skoszonych łąk nadniemeńskich. Dotarliśmy do rzeki i dalej jechaliśmy gęsiego co kilkanaście kroków. Pierwszy żydek bohatersko naprzód, drugi Sawicki, ja trzeci. Straży granicznej ani śladu. Za wodą była Polska. Nie przypuszczałem, że ją jeszcze zobaczę. Serce mi żywiej zabiło.

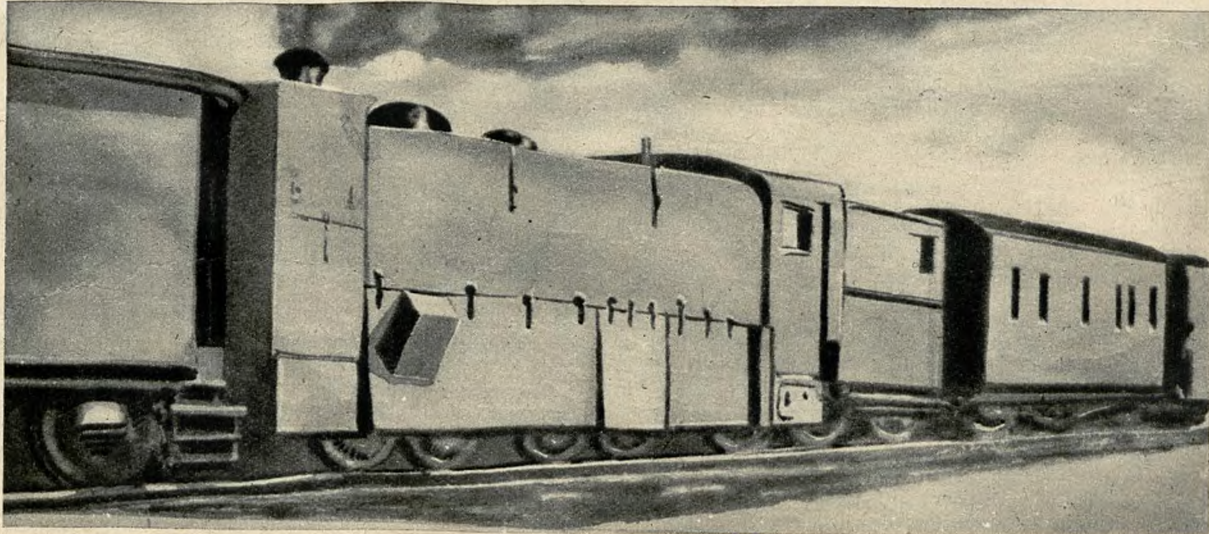
Zbliżyłem się do Sawickiego, zaproponowałem mu, byśmy razem przedostali się do kraju. Odmówił. Wszak młodą żonę. Tanię, ten poemat urody, pozostawił w Homlu! Zrozumiałem go, nie nalegałem. Jakiś czas jechaliśmy dalej w pustkowiu. On mnie znów wyprzedził.

Zaczęło świtać. Ujrzałem szary Niemen, tuż koło mnie — strumyk! Po drugiej stronie — Polska.

Trudno, w pewnej chwili skręciłem w wodę. Koń bez oporu przeszedł w poprzek rzeczkę, taką wątłą i wąską w tem miejscu, i zarżał. „Na dobrą wróżbę" — pomyślałem sobie.

Spełniłem wolę Dzierżyńskiego, nie zobaczyliśmy się więcej. Ale wspomnienie o nim poszło za mną i kiedy inne wrażenia blakły, jedno mało straciło na sile — chwila, kiedy on, smutny, żegnając się ze mną na Grochowej w Piotrogrodzie, jako komendant Czeki, odparł mi dostosowaną do rozmowy cytatą z „Powrotu taty":

Wracaj do domu, ja do lasu muszę...
Wy, ludzie, na ten pagórek
Biegajcie sobie i za moją duszę
Zmówcie też czasem paciorek!...



Sowiecki pociąg pancerny.

ZURYCH: *Warszawa 58'15.*

Giełdy istniały oczywiście i przed wojną. Ale w tych spokojnych czasach nikt niemi się nie interesował poza... giełdziarzami. Zwyczajny człowiek przypomniał sobie ich istnienie tylko wtedy, gdy będąc n. p. w Paryżu, lub w Nowym Jorku, w Londynie, czy Antwerpji i wałęsając się po mieście, nagle usłyszał jakiś szum ludzkiego mrowiska a kierując wzrok w tę stronę zobaczył wielki wspaniały gmach, przed nim wiele rozmaitych pojazdów i rzesze ludzi to wchodzących, to wychodzących a zawsze z nerwowym pośpiechem i zawsze z grubo wyładowaną teką w ręce. Zmieniło się to wszystko od czasu wojny i trwa już tak niezmiennie aż do dzisiaj. Rzadziej obecnie niż przed wojną, Polak przynajmniej, może zwiedzać te obce budynki giełdowe, lecz za to niemal każdy z nas czyta o giełdach codziennie, nietylko gdy to w Paryżu, to w Ameryce, lub gdzieindziej jest jaki krach giełdowy, lecz dosłownie codziennie, przeglądając kursa giełdowe, informując się, jak u nas stoi dolar, jak złoty w Paryżu, czy Londynie, jaki jest kurs funta sterlingów itd.

Z przedwojennych giełd najgłośniejsze były te właśnie, które powyżej wymieniliśmy: Londyn, Paryż, Antwerpja, Nowy Jork. Od chwili wybuchu wojny w tym pierwszym szeregu stanęła odrazu giełda zurychska. Szwajcarja była wszak krajem neutralnym a dzięki swemu położeniu geograficznemu, graniczące z kilkoma państwami z obu wrogich obozów: z Niemcami i Austrją po jednej, Francją i Włochami po drugiej stronie, stała się nagle niesłychanie ważnym punktem na mapie geograficznej. W Szwajcarji pracowały ogniska szpiegowskie wszystkich prawie wojujących państw europejskich, w Szwajcarji skupiała się cała neutralna międzynarodowa akcja humanitarna i sanitarna, w Szwajcarji wreszcie był barometr walut wszystkich państw, w wojnie udział biorących. Giełda zurychska, i przedtem już poważna, ale o ciasnym zasięgu, nagle nabrała międzynarodowego znaczenia. Kurs walut zagranicznych na giełdzie zurychskiej stał się wskaźnikiem właściwej ich wartości. I tak już zostało po dziś dzień. Zurych nie dał się już zdegradować, nawet wtedy, gdy nastały spokojniejsze czasy, lecz dalekie jeszcze od mocnej stabilizacji. Stąd powstała potrzeba zbudowania dla giełdy zurychskiej nowego gmachu, większego i okazalszego, a przedewszystkiem bardziej odpowiadającego nowoczesnym wymaganiom i ogólnym i specjalnym, giełdowym. Pod tym względem nowy gmach giełdy zurychskiej, potężna budowla żelazo-betonowa, góruje nad wszystkiemi innemi podobnemi na kontynencie europejskim, chociaż ani pod względem artystycznym, ani co do rozmiarów z nimi rywalizować nie może.

Wejdźmy do wnętrza tego gmachu. Przy wielkiej balustradzie kulistej stoją od zewnątrz ci, którzy chcą kupić lub sprzedać waluty, czy papiery wartościowe. Wewnątrz tego koła przy wielkim stole siedzi czterech panów. Jeden z nich podaje do telefonu kursa giełdowe, które tą drogą dostają się natychmiast do wiadomości banków, z giełdą telefonicznie połączonych. Obok tego pana siedzi komisarz rządowy, jako organ kontroli, oraz dwóch pisarzy, wywołujących głośno i notujących te kursa. I teraz dopiero rozpoczyna się prawdziwa gra giełdowa. Niefachowiec nie może nawet zorjentować się w chaosie wykrzykiwanych urywkowo liczb, to spadających, to podnoszących się. Ale na tem nie koniec. Poza pierścieniem balustradowym siedzą przedstawiciele banków, którzy swoim szefom telefonują prywatne wiadomości, oparte o zmieniające się co sekundę nastrojach giełdowych, o widokach zniżki, lub zwyżki danych papierów, czy walut. W sekundzie może jeden papier spaść, lub wznieść się w kursie tak bardzo, że powstają lub giną całe majątki spekulantów giełdowych. I to już należy do ogólnego obrazu dzisiejszych nowych czasów.



Stół wewnątrz balustrady z komisarzem giełdowym, dwoma pisarzami i urzędnikiem, bez przerwy podającym do telefonu bieżące kursa.



Agenci wielkich banków, utrzymujący połączenie telefoniczne z giełdą.

ZDJĘCIA KEYSTONE — BERLIN.

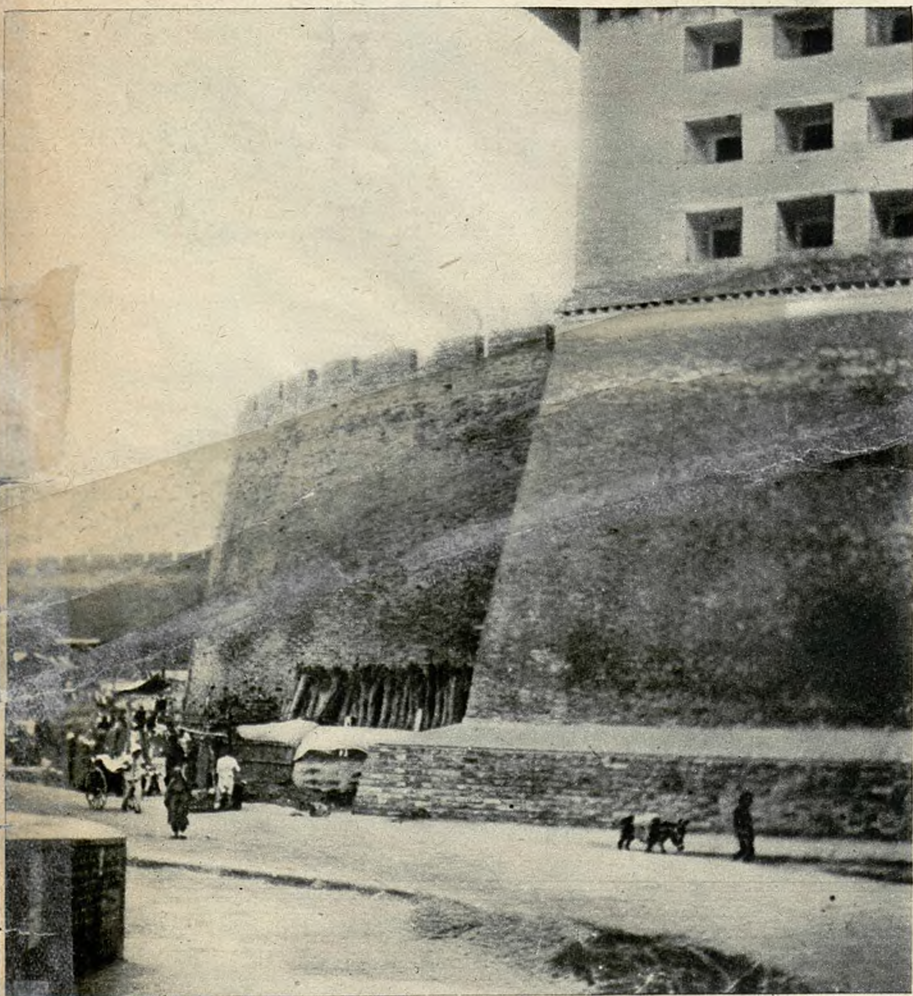
CZY MOŻLIWA JEST PRZEBUDOWA MURU CHIŃSKIEGO NA AUTOSTRADĘ?

W tych dniach pojawiła się w prasie europejskiej wiadomość, jakoby centralny rząd Chin postanowił przebudować wielki mur chiński na szosę dla ruchu automobilowego. „Nowa autostrada" — jak donoszą dzienniki — „ciągnęłaby się od brzegów Morza Żółtego do granicy Mandżurji i liczyłaby przeszło 4.000 kilometrów długości". Przypuszczam, że pogłoskę tę ukuł jakiś turysta, dzieląc się nią z dziennikarzami. Ci zaś zrobili swoje: wiadomość obiegła cały świat.

Niestety jest to tylko pogłoska. Wielki mur chiński ciągnie się na przestrzeni przeszło 3.000 klm. od brzegów Morza Żółtego przez Pekin, Kalgan do granic Tybetu, a wysokość jego wynosi od 5 do 15 metrów, grubości zaś od 4 do 7 metrów. Ząb czasu w bardzo wielu miejscach poczynił dokładniejsze w nim spustoszenie, niż hordy Tatarów, Mongołów czy Mandżurów. Gdzieniegdzie tylko gruzy wielkich kamieni wskazują na ślad muru. Któżby więc pokrył koszta tej gigantycznej przebudowy? Chyba nie rząd, który bezradnie głowi się nad raportami z różnych dzielnic kraju, głoszącemi o głodzie, epidemjach, bandytyźmie i buntach żołnierzy, domagających się żołdu. Zważyć przytem wypada, że należałoby zburzyć niezliczoną wprost ilość wieżyc i wartowni na murze, które są oddalone od siebie mniej więcej o jeden km. Ile pieniędzy wkońcu pochłonęłaby przebudowa muru w górach Cin-ganu, gdzie wał kamienny wdziera się na szczyty, łączy je wijącą się po zboczach linją z dolinami, tworząc przytem zakręty i rozgałęzienia, by po kilkuset kilometrach wpaść w pustynną przestrzeń. Ponadto musiałyby być dobudowane odcinki, któreby łączyły autostradę z innemi, już obecnie używanemi drogami. Tymczasem zaś skarb chiński świeci pustką, gdyż wydatki przewyższają wpływy.

Któż zresztą zaręczy, czy Japończycy nie oprą się o Wielki Mur od strony Dże-holu, a Tybetańczycy — z którymi dopiero niedawno przyszło do rozprawy — czy nie posuną się od zachodu wgłąb kraju.

Dla ludności chińskiej niepotrzebną jest ta „projektowana" autostrada. Droga, łącząca Pekin, Kalgan i Majmaczyn została już doprowadzona do porządku. Po niej suną samochody i wloką się arby chińskie. Zaś dla karawan na wielbłądach wygodniejszym jest ubity i szeroki trakt, niż ka-



Fragment muru chińskiego.

mienista, twarda szosa. Chińczycy przyzwyczajeni są też do podróży rzecznych. Dostosowane są do tego łodzie, będące często mieszkaniem uboższej warstwy, a rzeka Hoan-Ho (Żółta) i jej rozgałęzienia w górnym biegu przepływają w okolicach wielkiego muru.

Wypada mi jeszcze omówić sprawę turystów. Ci, to znaczy przedewszystkiem Amerykanie, tłumnie zwiedzają Japonję, wyspy Mórz Południowych, rzadziej docierają do Korei, a podróż po Chinach ograniczają do okolic nadbrzeżnych. Są to przeważnie tacy, którzy jadą „around the world" z San Francisco i zatrzymują się bardzo krótko w mieście, godniejszem uwagi turysty. Innych, a więc tych, którzy poświęcają dłuższy czas podróży po Chinach, od zapuszczania się wgłąb kraju odstraszają wiadomości o napadach bandytów, o okupie, o dżumie, cholerze i wygłodniałej, gotowej na wszystko wobec widma śmierci, ludności tubylczej. Ci wszyscy jeździliby może autostradą z Tientsinu do Pekinu, lecz nie dalej, gdyż każdemu jest życie miłe.

Wątpliwem jest wkońcu, czy na przebudowę wielkiego muru zgodziłaby się sama ludność chińska. Przecież potężny ten wał bronił ich kiedyś przed zalewem najeźdźców. Obecnie jest on niezachwianym dowodem potęgi cesarza Cin-sin-Hlan-Tin'a, który go kazał wybudować w trzecim wieku przed Chr., a zarazem pozostaje on symbolem mrówczej pracy Chińczyków. Wielu inteligentnym „Synom Nieba" nawodzi Wielki Mur moc niewyczerpanych wspomnień o dawnej, odległej świetności Chin, nieznającej Ligi Narodów, a pospólstwu dostarcza wapna, cegły i kamieni, które w zmielonym stanie posiadają... własności lecznicze.

Każda rodzina chińska zabezpiecza swój dom murem przed wtargnięciem złego ducha, zaś Wielki Mur ma chronić, jak twierdzą zabobonni, przed nieszczęściem całe Chiny.

Kiedy w Szanghaju cudzoziemcy zaczęli stawiać pierwsze wysokie domy, gmina sprzeciwiła się temu, gdyż złe duchy zatrzymywałyby się na nich i później mogłyby się błąkać po sąsiednich domach. Na Wielkim Murze czuwali dawniej łucznicy, w dzień głosem, a w nocy sygnałami świetlnemi dając sobie znaki. Czy teraz ryk syren samochodowych i błyski reflektorów limuzyn nie wywołałyby wrogiego odruchu Chińczyków? **Ten.**

ZGON PROFESORA STRYJEŃSKIEGO.

W Krakowie zmarł śp. Karol Stryjeński, prof. Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie. Zmarły, wybitny architekt należał do czołowych postaci współczesnej plastyki, nietylko jako twórca, ale także propagator i organizator. Niezapomnianą jego zasługą jest urządzenie wespół z inż. Warchałowskim działu polskiego na Międzynarodowej Wystawie Sztuk Dekoracyjnych w Paryżu.

Jako kierownik Państwowej Szkoły przem. drzewnego w Zakopanem wprowadza on tę ważną placówkę przemysłu domowego, podhalańskiego na nowe tory. Zamianowany prof. szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie współdziała w założeniu „Ładu" współdzielni artystycznej, oraz rzuca myśl założenia instytutu propagandy sztuki. Projekt ten zostaje zrealizowany, co więcej, dzięki energji Stryjeńskiego dochodzi do skutku budowa nowego gmachu wystawowego w Warszawie.

Cześć jego pamięci!



Śp. profesor Karol Stryjeński, zmarł dnia 21 grudnia 1932 r. w Krakowie.

„MOUNT EVEREST" JALU KURKA.

Znany literat Jalu Kurek z Krakowa otrzymał nagrodę Minist. Oświaty na konkursie olimpijskim za powieść p. t. „Mount Everest", opisującą tragiczną wyprawę angielską w 1924 r. na najwyższy szczyt świata i śmierć dwóch jej uczestników pod czołową turnią Everestu. Kurek wydał dotychczas trzy tomiki poezji i kilka powieści, z których najpopularniejszą jest: „Kim był Andrzej Panik?". Obecnie redaguje on pismo literackie „Linja" i ukończył sztukę teatralną p. t. „Sprawiedliwość nie dowidzi".



Jalu Kurek, autor „Mount Everestu".

Co ci zostało z tych lat?

Zuzanna Lenglen należała w swoim czasie do najlepszych tenisistek świata. Po szeregu lokalnych zwycięstw w 1919 r. pojawia się ona w Wimbledon i odrazu wynija się na pierwsze miejsce, bijąc bezapelacyjnie najbardziej renomowane rakiety. Potem przez siedm lat broni zawzięcie swojego tytułu mistrzyni świata. Dopiero w 1926 r. pojawia się fenomenalna Helen Wills Amerykanka, przed którą Lenglen musi kapitulować. Szczęście odwraca się od niej, publiczność, która dotychczas nosiła ją na rękach, nagle odsuwa się od niej a gazety zaczynają przebąkiwać, że amatorstwo „Boskiej Zuzanny" jest grubo podejrzanej natury. Jakby na potwierdzenie tych pogłosek, Zuzanna przechodzi do szeregu zawodowców, i odtąd gwiazda jej gaśnie bezpowrotnie. Dziś b. mistrzyni świata zamieniła rakietę na łyżwy. Ślizga się. I nikt prawie już z szarego tłumu, otaczającego ją na ślizgawce nie wie, że ta trzydziestokilkuletnia brzydkawa sportsmenka, na którą mało kto zwraca uwagę, to dawna „Boska Zuzanna".



Zuzanna Lenglen.

IDZIEMY NA MASKARADĘ.






W mroki nocy, migocącej od nielicznych świateł, pogrążonego we śnie miasta, wpadają ze sal balowych wesołe, rozigrane dźwięki rumby. Wybiegają skoczne tony, rozpryskują się na wietrze i na skrzydłach jego biegną po powietrznej fali, błądząc po ciemnych ulicach i milknąc w cichych zaułkach.

To pierwsze zwiastuny karnawału, w sylwestrową noc, pełną tajemnic, ukrytych za opuszczoną zasłoną dnia, który rozpocznie nowy rok..

Idziemy na maskaradę! Niech na tę jedną noc znikną wszelkie troski! Niech zawładnie prawdziwa, beztroska wesołość i zapomnienie trosk!

Idziemy na maskaradę, ten wyjątkowy bal, kiedy można za maseczką ukryć się, niby za parawanem, by intrygować, bawić się, śmiać!

Prócz maski jest o czem pomyśleć, wybierając się na redutę czy maskaradę! Ileż nowych możliwości ma pani dla ukazania swej urody w niezwykłej oprawie. Każdy najbardziej fantastyczny kostjum, byle dobrze dostosowany do typu urody, jest tu nietylko możliwy, ale nawet pożądany.



Pomysłowość i dobry własny gust mają pole do popisu i odniosą zawsze zwycięstwo nad tanim efektem tuzinkowej roboty, obliczonej na duży zbyt.

Pominąwszy więc historyczne, narodowe i etnograficzne kostjumy, które muszą być kosztowne, najlepiej prezentują się i dają najciekawszy efekt artystyczny, kostjumy fantazyjne.

Na skomponowanie takiego kostjumu nie trzeba zazwyczaj wiele materjału. Gazy, jedwabie, lamy, najlepiej nadają się do tych celów. Kolor czarny często zwycięża wszystkie inne, ale też wszystkie inne dopuszczone są do równego głosu w fantastycznym kostjumie maskaradowym.

Zwycięstwo pyjamy w kobiecym stroju rozszerza jeszcze bardziej możliwości fantastycznego kostjumu redutowego. Dziś bez wahania ubierze się każda pięknie zbudowana pani nawet krótkie spodenki i z łatwością przeistoczy się w młodocianego efeba, byle tylko stanąć w wyścigu pomysłowości i artystycznego smaku na pierwszem miejscu.

A zatem na maskaradę!

W.W.

Z TAJEMNIC AFRYKI

JESZCZE O LUDOŻERSTWIE



Murzyn z plemienia Bantu. Ma on twarz „ozdobioną" nacięciami, co ma oznaczać, że jest dzielnym wojownikiem i dzięki czemu podoba się kobietom.

Jak wiadomo, ludność obecna Afryki składa się z następujących grup: 1) Negrów, 2) Hottentotów, Buszmenów oraz ludów karłowatych (Akka i Tiki-Tikki), 3) mieszańców ludów negryjskich z Chamitami i Semitami, 4) ludów chamickich i semickich (Berberowie i Arabowie), 5) ludów malajskich, oraz napływowych Europejczyków, Indusów i t. d.

O ile chodzi o ludożerstwo i ofiary ludzkie, to były one dawniej szeroko rozpowszechnione w całej Aryce, a zwłaszcza najwięcej u plemion Bantu, będących odłamem pierwszej grupy Negrów. Jednakowoż i dzisiaj ten zwyczaj, zakorzeniony od wieków, ma jeszcze swych zwolenników wśród niedostępnych puszczy Środkowej Afryki. Podkreślić jednak z góry należy, iż kanibalizm Afrykanów nie miał tak żarłocznego charakteru, jak n. p. ludożerstwo głodem dręczonych Australczyków, którzy to czynili dla podtrzymania swej nędznej egzystencji. Natomiast ludożerstwo u Afrykanów jest raczej zwyczajem, tradycją, przechodzącą z pokolenia na pokolenie, mającą częstokroć uzasadnienie w religji fetyszyzmu, która specjalnie rozpowszechniła się u plemion Bantu. Nadto są i starsze wpływy: i tak w świętych gajach ludożerców Goro, Senufo i Bete ukrył się kult rzymskiej Cerery i helleńskiej Demetry. Tańce orgjastyczne i szereg obyczajów matrymonialnych przemawiają do nas głosem Rzymu i Hellady, a z pomruku koron olbrzymów leśnych nieraz dojść może do słuchu cichy szept kapłanów i kapłanek Apolina, Dionizosa i Persefony. To są dalekie echa, które jeszcze dziś można odnoleźć i odczytać w obecnych tajemnicach Afryki. Tam, gdzie natura rozsypała najhojniej wszystkie skarby swoje, gdzie drzewa i ziemia wydają najlepsze i najcudniejsze kwiaty, gdzie potrzeby materjalne można zaspakajać bez trudu, człowiek został zwierzęciem, pożera bliźniego i czyni go niewolnikiem, gdy tymczasem ludy północne, Eskimosi, Lapończycy, Samojedzi słyną z gościnności, choć kraj ich ubogi i klimat ostry.

Z tego porównania widzimy, iż ludożercy afrykańscy, wedle naszych pojęć nie grzeszą z potrzeby, jak australscy, ani z nieświadomości, zwłaszcza, że podług relacji podróżników Alfreda Marche, margrabiego de Compiegne i dra Schweinfurtha, najbardziej cywilizowani są ludożercami. I tak n. p. oprócz plemion Bantu kanibalizmem zajmowały się stosunkowo wysoko stojące pod względem kultury plemiona mieszańców negryjskich z chamitami i semitami. Ludy te, zetknąwszy się z cywilizacją Berberów i Arabów, przejęły od nich wiele umiejętności, a przedewszystkiem nauczyły się pojęcia państwowości, uprawy roli, oraz hodowli bydła, wreszcie i handlu niewolnikami od Arabów. Otóż wśród ludów tych spotykamy plemiona, zbadane przez Schweinfurtha pod nazwą Mambuttu oraz Njam-Njam, zajmujące okolice dopływów Nilu Białego, oraz rzeki Szari, uchodzącej do jeziora Czad, które pomimo stosunkowo, jak na Afrykanów wysokiej kultury, były ludożercami i są nimi jeszcze nieoficjalnie. Plemiona te o wielkiej bitności wojskowej, parły ze swych siedzib na wszystkie strony w celach zdobywczych. I tak n. p. Njam-Njamowie i Mambuttowie parli na wschód, a więc ku Nilowi, podczas gdy pokrewni im Pachninowie i Ozyebowie na zachód ku Atlantykowi. Otóż wszystkie te plemiona zajmowały się ludożerstwem, a pociąg do ludzkiego mięsa dochodził u nich do tego stopnia, że zjadano nawet zmarłych. Ozyebowie naprzykład w kanibaliźmie okazali się szczególnymi smakoszami. Więźniowie przeznaczeni na spożycie muszą żyć podług pewnego regulaminu, zanim pójdą na rożen, lub do rondla. Lubią jedynie mięśnie, pokryte lekką warstwą tłuszczu ciała wypoczętego, czerstwego. Ozyebowie zatem schwytaną ofiarę otaczają pieczołowitością, przywracają łagodnem obejściem spokój umysłu. Tym sposobem ciało wypoczywa, nabiera smaku, łechcącego podniebienie dzikich.

Njam-Njamowie, których nazwa jest naśladownictwem ruchu szczęk przy jedzeniu i znaczy „jedz — jedz", zamieszkują znowu wschodni obszar Afryki środkowej. Nazywano ich niegdyś „ludźmi ogoniastymi", z powodu zwyczaju noszenia przez nich z tyłu ogona wołego. Njam-Njamowie przyozdabiają włosy muszelkami, używanemi zamiast monet na wybrzeżu wschodniem, pozatem noszą niebieskie paciorki szklane. Ich noże, zwane trumlaszami, mają dziwnie skomplikowany kształt. Używają do polowania psów małego gatunku. Wyrabiają oni zręcznie narzędzia żelazne, celują w łowiectwie i handlu. Pozatem mają wysoki zmysł społeczny, dumę narodową i wcale wysoki rozwój umysłowy, w przyjaźni szczerość.

Plemiona te, otoczone z północy i południa murzynami jeszcze niższego stanu, którymi pogardzają, zajmowały się polowaniem i łupiestwem, żywiły się zaś mięsem zwierzęcem i ludzkiem. Zabitą ofiarę ćwiartowano, suszono na wietrze i zabierano do wioski, jako artykuł żywności. Ludzi schwytanych prowadzono do osady żywcem, a po zabiciu zachowywano w stanie świeżym, jako przysmak. Z otyłych wytapiano tłuszcz, używając go do potraw.

Taki stan rzeczy tłumaczy nam fenomen etnograficzny, iż bardziej cywilizowane plemiona uprawiają kanibalizm w największej i najohydniejszej formie, skoro ofiary umyślnie się tuczy i karmi. Dziś ludożerstwo afrykańskie oficjalnie jest zabronione, jednakowoż mimo to krzewi się w ukryciu w zapadłych i niedostępnych jeszcze stronach tego czarnego kontynentu.

Dr Adam Gadomski.

PELPLIN — STOLICA BISKUPIA POMORZA.

Pelplin: katedra, pałac biskupów, seminarjum duchowne, liceum, park wspaniały... Ku temu dalekiemu, uroczemu, zakątkowi kraju coraz częściej wraca się społeczeństwo polskie.

Dzieje biskupiej stolicy Pomorza sięgają prastarych tej krainy czasów; działalność zaś kapłana, który na stolicy tej dzisiaj zasiada, wiąże ją coraz silniej z życiem nowej Polski.

Pociąga nas więc Pelplin szczególnie z dwóch względów: Jako dziejów pomorsko-polskich wspaniały zabytek i jako ważny dzisiaj ośrodek działalności patrjotyczno-religijnej oraz dążeń wysoce kulturalnych.

Na widownię dziejową wystąpił Pelplin już w połowie XIII wieku, kiedy pomorski książę Sambor II, ożeniony z księżniczką meklemburską, zezwolił Zakonowi Cystersów w ojczyźnie swej małżonki na założenie klasztoru-opactwa w ziemi pomorskiej. A jakkolwiek pierwotną siedzibą tego nowego klasztoru była miejscowość sąsiednia (Pogódki) — rychło, bo już w r. 1274, mocą fundacyjnego dokumentu Mestwina II, przeniesiony został pomorski Zakon Cystersów do Pelplina, pozostając odtąd przez kilka wieków samodzielnem zgromadzeniem zakonnem. Klasztor pelplińki wszedł w obręb wielkiej polskiej „prowincji" Zakonu Cystersów. Wkrótce, bo już w początku XIV stulecia, stanął przy klasztorze wspaniały kościół w kształcie bazyliki. Potężna ta budowla, w stylu późno-gotyckim, ma 84 m. długości i ozdobiona jest wieżą wysoką na 63 m.

Klasztor pelpliński rósł i bogacił się pod szczególnie życzliwą opieką książąt pomorskich (Sambora, Mestwina I, Sobiesława, Świętopełka, Mestwina II) oraz szeregu królów polskich. Przechodził wraz z całą tą ziemią kresową polską liczne zmiany i wstrząsy dziejowe i przez blisko dwa wieki znajdował się pod panowaniem krzyżackiem; po pokoju toruńskim (1466), przypadł z powrotem Polsce i dopiero z pierwszym rozbiorem (1772) zagarnięty został przez Prusy. W 50 lat później nastąpił kres klasztoru. Dekretem króla pruskiego z r. 1823 zniesione zostało zgromadzenie zakonne Cystersów w Pelplinie i kościół wraz z dużą częścią majątku zakonnego przekazany został biskupstwu chełmińskiemu.

Podkreślić trzeba, że w ciągu 550 lat swego istnienia zakon pelpliński liczył wśród swych opatów, ojców i braci wielu Polaków i stale ciążył ku Polsce.



Posąg św. Wojciecha w parku Biskupim w Pelplinie.

Z chwilą sekularyzacji Pelplina i osiedlenia się w nim biskupów chełmińskich — nastąpił dla niego nowy okres rozwoju. Pobudowane zostały nowe gmachy i założone nowe instytuty wychowawcze. I tak w r. 1828 otwarte zostało seminarjum duchowne, w r. 1835 liceum p. n. Collegium Marianum; oba te instytuty istnieją dotychczas.

Po odrodzeniu państwa polskiego zasiadał na rezydencji w Pelplinie jeszcze przez czas dłuższy ostatni biskup chełmiński z czasów zaborczych, ks. Rosentreter. Od r. 1926 objął diecezję ks. biskup Okoniewski, który tak troskliwą opiekę roztoczył nad Pelplinem i jego historycznemi skarbami.

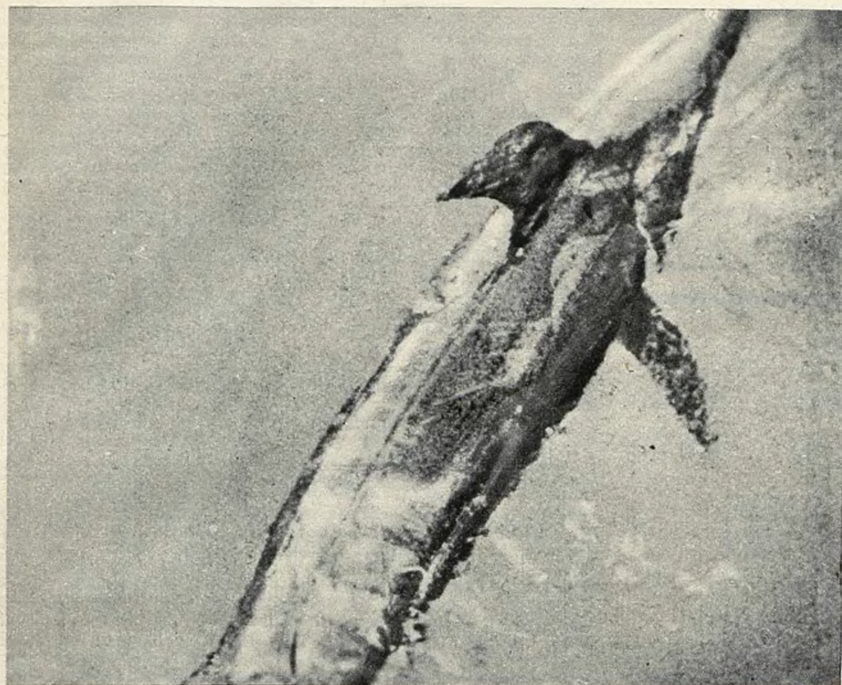
Pierwszem jego dziełem było odnowienie i rekonstrukcja pałacu biskupiego. W pałacu mieści się piękna kaplica, ozdobiona cennemi witrażami i portretami, pendzla artysty malarza Jackowskiego, oraz muzeum diecezjalne, zainicjowane przez obecnego ks. biskupa. Bibljoteka biskupia, pomnożona również zbiorami ks. bisk. Okoniewskiego, zawiera m. in. bezcenny skarb: egzemplarz oryginalnej biblji Gutenberga, o której niedawno głośno było w prasie polskiej, z racji zaprzeczenia stanowczo pogłoskom o zamiarze sprzedania jej przez kurję biskupią. Pałac mieści się we wspaniałym parku utrzymanym z wielką pieczołowitością.

Jak zaznaczyliśmy, wysoce patrjotycznie usposobiony arcykapłan chełmiński dąży do jak najsilniejszego związania prastarej rezydencji ze współczesnem życiem Polski. Z tych jego usiłowań wyszedł także plan artystycznych pomników, których cykl zdobi już park pałacu biskupiego. Wykonanie tych pomników ogrodowych poruczył ks. biskup rzeźbiarzowi p. Wojciechowi Durkowi z Torunia. Ustawione zostały najpierw trzy rzeźby-pomniki, związane ściśle z dziejami biskupstwa pomorskiego: „Św. Wojciech, nawracający pogańskich Prusaków", oraz duże grupy z posągami biskupów chełmińskich, szczególnie silnie związanych z ważnemi zdarzeniami diecezji; pod posągami biskupów płaskorzeźby, obrazujące okres ich władania. Przypomnieć należy, że wśród piastunów stolicy chełmińskiej znaleźli się swego czasu: sławny poeta nasz łaciński Dantyszek, późniejszy wybitny kardynał Hozjusz, zasłużony założyciel bibljoteki stołecznej Załuski.

Do tych trzech grup specjalnych przybyła niedawno nowa, tak wielce charakterystyczna dla patrjotycznych i kulturalnych intencyj ks. biskupa Okoniewskiego: to grupa „Wielkiego zwycięstwa r. 1920". W tym nowym pomniku ogrodowym starał się artysta połączyć momenty religijne wielkiej dziejowej chwili z jej czynem orężnym narodowym, co było właśnie intencją i zamysłem biskupa-inicjatora.

Gust. Bolesł. Bmfld.

W ŻAGLÓWCE U WYBRZEŻY WYSP LIPARYJSKICH.



Ryba spada, poławiana na światło u wybrzeży wysp Liparyjskich.



Targ rybny w porcie rybackim w Messynie

Zdjęcia Ag. Fot. „Światowid"



Jedna z wysp Liparyjskich, przeznaczona na więzienie dla zesłańców politycznych.

(Korespondencja własna „Światowida").

W czasie mego ostatniego pobytu z dziennikarzami zagranicznemi w Reggio Calabria, udałem się pewnej nocy na połów ryb daleko w morze, aż po smutne wyspy Liparyjskie, które kryją w sobie nieszczęsnych przeciwników faszystowskiego regime'u.

Noc była jasna i ciepła. Na firmamencie wielkiego nieba błyszczały miljardy gwiazd, podobnych do brylantowych ćwieków, nabitych w granatowy płaszcz nocy, a pijany księżyc toczył się ociężale po mlecznej drodze i lał srebrem wielkiej rzeki na zwały chmurek, pędzonych ciepłym wiatrem od afrykańskiego brzegu.

Z Reggio Calabria, Messyny, z pod Sycylji i Charybdy płynęły barki rybackie daleko w morze cicho, spokojnie i bez hałasu. Tylko karbidowe, silne światło lamp kołysało się na falach usypiającego morza i zdawało się chwilami, że Posejdon, bóg mórz i oceanów zapalił na wielkich wodach światła, aby mamić rybaków złudami niezbadanych przepaści.

W każdej żaglówce po kilku rybaków. Jedni pilnowali żagli, inni znowu wiosłowali, jeżeli barka była bez płócien, a inni palili fajki, gawędząc o pięknie natury i o połowie, który ma przyjść.

Była godzina 11 w nocy, gdy łodzie nasze znalazły się na wielkiem morzu. Zdala dymił Stromboli i pokazywał od czasu do czasu języki żółtego ognia, a po lewej stronie opierała się o niebo wielka góra — to Etna, która wiecznie pozostaje w chmurach i wiecznie swym wierzchłokiem zda się dotykać Bożego tronu.

Jeden z moich towarzyszy powiedział żartobliwie, patrząc na te dwa dymiące wulkany, że to centralne ogrzewalnie południowej Italji, której Pan Bóg nie dał wielkich kopalni węgla kamiennego, a za to trzy olbrzymie piece, które wiecznie grzeją: Etna, Stromboli i Wezuwjusz.

Gdy zajechaliśmy na miejsce, t. j. pomiędzy wyspy Liparyjskie i Ilario rybacy nasi zabrali się do pracy. Zapuścili sieci w morze, sieci przywiązane do dwóch sąsiednich łodzi, a oprócz tego opuścili światło tuż nad fale wód i jeden z rybaków wziął do ręki długą tyczkę, zakończoną żelaznym haczykiem.

— A co to będzie? — pytam z zaciekawieniem.

— To właśnie clou naszej nocnej zabawy — odpowiada starszy rybak, opalony słońcem, ze zmarszczkami na twarzy, a ognistemi, żywemi oczyma.

— Jak to — tem łowicie ryby?

— A niech pan patrzy!

Patrzę pod wodę i widzę, jak do światła zbliża się wielka ryba o głowie, podobnej do szpady. W jednej chwili rybak, trzymający tyczkę, błyskawicznie rzucił ją w stronę ryby i ciągnie za haczyk do góry. Złapał za oskrzela i ryba gotowa. Już nie ucieknie.

— Jak się nazywa ten rodzaj ryb? — pytamy mistrza od tyczki.

— Spada! — po polsku znaczy szpada. Nazywa się dlatego, że ma głowę podobną do szpady. Całym wyglądem jednak przypomina raczej węgorza.

I gdy sieci ciągnęły za sobą drobne ryby i rybki — rybak z tyczką co kilka minut wyrzucał do łodzi wielką spadę, wagi około 1 kilo. Czynił to z taką maestrją, że postanowiliśmy unieśmiertelnić tę sztukę łowienia ryb na kliszy fotograficznej. Ale to nie przyszło łatwo, gdyż fale kołyszą łódź, a magnezja wybucha albo zapóźno, albo też zawcześnie. Jednak po długich mozołach udało się nam uchwycić piękny moment, jak spada ciągnie za światłem do łodzi i jak zahaczona tyczką jedzie do góry.

Tysiące wokoło łodzi rybackich, tysiące migotliwych światełek i tysiące rąk wyciągało się w stronę rozlanych wód, aby wydobyć z nich pożywienia dla dziesiątków tysięcy osób... Patrząc całą noc na tę pracę rybaków sycylijskich, na ich walkę z żywiołem, żal mi się zrobiło tych ludzi... Noc całą pracowali w pocie czoła, nie spoczywając ani na chwilę. Dopiero, gdy utrudzeni wielce o świcie wracali do lądu na ciężkich kutrach i małych łodziach, mogli wyprostować kości i zapalić fajki. Jako plon wieźli kilkadziesiąt kilo drobnych ryb i sporo spad...

Morze szumiało poważnie poranną pieśń na cześć wielkiego Boga, a pomęczeni rybacy dobijali do brzegu, oczekiwani z utęsknieniem przez żony, dzieci i całe rodziny... Kupcy-hurtownicy brali na wagę najlepsze gatunki ryb, płacili grosze i załadowywali towar na swe wielkie kutry motorowe, aby w godzinę później odjechać na targ rybny do Neapolu, albo wysłać go koleją do stolicy Italji... Drobiazg, zwany gminem rybim, sprzedawały żony rybaków tuż przy porcie, pod osłoną wysokich masztów, schnących płócien...

Słońce otarło, czerwone po nocy, oczy o szczyty Gran Sasso i jasne płynęło po nieba oceanie, a spracowani rybacy, miast iść spać — zabrali się do reperacyji swych sieci i łodzi... Może po obiedzie, który składać się będzie z rybnej zupy, kawałka chleba i szklanki wina położą się opodal swych sieci i zasną na godzinę, a gdy wieczór przyjdzie, wyjadą znowu na dalekie morza pod wyspy Liparyjskie na łowienie tyczką spad i sieciami frutta di mare...

Smakują nam sardynki, śledzie marynowane i wędzone, węgorz pod rozmaitemi postaciami... Przyjemny jest dla nas sport łowienia ryb wędką, gdy w niedziele udajemy się nad groble rzek, stawów, jezior i sadzawek, ale dla rybaka mórz — to nie sport, nie piękno poezji, gdy jedzie do walki w ciemną noc z karbidową latarką, nie słyszy symfonji fal — nie widzi czaru wodnej kurzawy, ani brylantów, rozbijających się na miazgę białych grzbietów fal, bo dla niego łowienie ryb jest znojnym trudem, jest wyrywaniem morzu kawałka czarnego chleba dla siebie i swojej rodziny...

Gustaw Lawina (Rzym)

Arytmograf.

(Uł. Antoni Gromski — Strzyżów).

	15	2	21	19	20	13	4	8	21	10	2	18	17	6	
1	3	10	4	8	17	8	12	19	17	15	17	8	10	14	3
7	11	6	10	4	18	2	15	17	8	1	7	1	9	16	17
3	15	2	21	8	6	10	4	18	6	1	7	3	5	7	18

W miejsce cyfr wstawione litery dadzą rozwiązanie.

Wyrazy pomocnicze:
1) 1, 2, 3, 4, 5 = minerał;
2) 6, 7, 8, 9, 6, 10 = przymierze;
3) 11, 12, 13 = gad;
4) 10, 14, 9, 15 = rzemieślnik;
5) 16, 17, 18, 17, 15, 19, 20, 21 = nazwa kanału.

Szarada.

(Uł. L. Ciesielski, czł. Warsz. Kl. Szar.)

Jako **pierwsze-siódme** krasne jej usteczka —
Liczko: róż koloru, świeże, uśmiechnięte —
Dwa-siódme jej włosów: promyki słoneczka —
Oczy: gwiazd brylanty, jakby z nieba zdjęte...
Kształty jakby z bronzu **u=piąte i czwarte** —
Cała — piękna Wenus!.. więc bijemy czołem
Przed nią i mówimy: życie jest coś warte,
Bo śliczna **pięć-piąta**, zda się być aniołem!...

. . . .

Sześć gdy czas swym zębem jej piękno zadraśnie,
Gdy przyrośnie ciała ze sto **siedem-drugie** —
Gdy młodość za sobą przed nią drzwi zatrzaśnie,
Staje się mniej piękną, bo... **raz** lata długie...
Mąż jej głową tylko smutnie **siedem-trzecie**,
Bo się anioł jego zmienił w złą kobietę!
Ją nie zadowolni nic już na tym świecie...
Bo latka przyczyną na złości podnietę.
A choć **trzy-sześć-czwarte** są twoje wyczyny,
Aby rozpromienić ckne życie anioła,
Wnet wrzaśnie: „Żem stara — to z twojej przyczyny!!...
„Och, nic mnie... już nic mnie pocieszyć nie zdoła!..."

Za rozwiązanie powyższych dwu zadań redakcja „Światowida" przezn

Trzy nagrody.

Pierwsza zł. 30, druga zł. 20, trzecia zł. 10.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 7-go stycznia 1933 r. wraz z załączonym kuponem.

ZŁOTE MYŚLI URZĘDNIKA W NOC SYLWESTROWĄ.



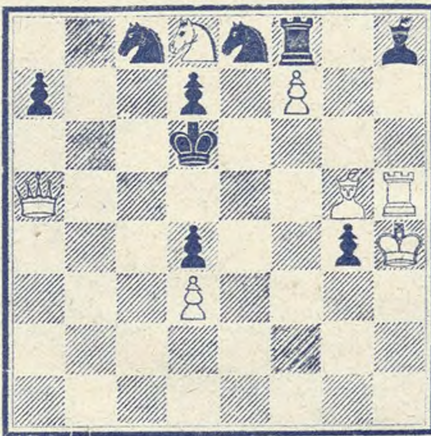
— Co za cudowny widok, życie naprawdę jest piękne!

Dział szachowy

pod redakcją Mieczysława Gałuszki.

H. Vetter (IV nagr. w konk. „Dagens Nyheder" w roku 1931).

Czarne: Kd6, Wf8, Gh8, Sc8 e8, piony: a7, d4 d7, g4 (9).



Białe: Kh4, Ha5, Wh5, Gg5, Sd8, piony: d3, f7 (7).
3-chodówka. 7+9=16.
Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązanie 3-chodówki H. Vettera: 1. K—g3; **I.** 1... S—e5 2. H×e5+ i 3×; **II.** 1... S—b6 2, H—c5+ i 3×; **III.** 1... S—g7 2. G—f4+ i 3×; **IV.** 1... S—e7 2. G—f4+ i 3×.

PARTJA.

Białe: **Takacs (†)** Czarne: **Pallin**

granana korespondencyjnie w r. 1930.

Obrona indyjska.

1. d4 S—f6	15. G×g7 K×g7
2. c4 g6	16. f4! W—f8
3. S—f3 G—g7	17. e4 H—d7
4. b3 0—0	18. f5! G×d5 **(1)**
5. G—b2 d6	19. f6+ **(2)** K—h8
6. g3 S—c6	20. H—h6 W—g8
7. G—g2 S—d7	21. e×d S—d4
8. S—c3 e5	22. H—d2! H—g4
9. d×e5! Sd×e5	23. K—h1! S—f5
10. H—d2 W—e8	24. Wa—e1 Wb—e8
11. 0—0 W—b8	25. W—f4 H—g5
12. S—d5! G—e6	26. W×e8 W×e8
13. S—d4 S×d4	27. W—e4! **Czarne poddały się.**
14. G×d4 S—c6	

Uwagi:

(1) 18... g×f 19. H—g5+ K—h8 29. S—f6!

(2) Początek pięknej kombinacji świetnie obmyślanej.

Trafne rozwiązanie zagadek z Nr. 50 nadesłali:

Marja Szewiakowa, Wilno; Em. Kochmańska, Kraków; „Wiślanka", Warszawa; „Wilnianin", Dubno; Marja Fischler, Lwów; Irena Zacherowa, Jaworzno; Janek S., Warszawa; Jadwiga Lisowa, Kraków: Marja Rundowa, Bielsko; W. Kortylewicz, Poznań; A. Altenberger, Łódź; Wiera Radke, Łódź; inż. Antoni Szuksta, Warszawa; W. Zaboklicki, Warszawa: R. Siwczyk, Lubliniec; Helena Lutrowiczówna, Raków: A. R. Ordza, Kraków; Helena Chudzyńska, Lipsk; Zofja Kiejziewiczówna, Wilno; Stanisław Konarzewski, Inowrocław; T. Cieszewski, Wilno; Franciszek Łukaszewicz, Wilno; plut. Mich. Szymko, Podbrodzie; J. Czerwiński, Kowel; H. Wasilewska, Troki; L. Broner, Kraków; W. Ossowiczowa, Piastów; „Manfred"; A. Szmytowa, Poznań; Zb. Błock, Poznań; H. Chmielewska, Starogard; J. Zieliński, Zbąszyń; M. Hutny, Kraków; Wład. Gajowa, Poznań; K. Stamciewicz, Sosonwiec; Cz. Brożek, Nowy Targ; Cz. Kaszubska, Sieradz; Stan. Dudzic, Skarżysko; L. Boroński, Kraków; Tad. Mazurek, Wilcza Dolna; M. Lipińska, Białystok; M. Niekraszówna, Wilno; W. Kostka, Kraków; J. Krupa, Kraków; Mich. Adamczyk, Węgrów; „Niunia", Rzeszów; „Emerytka", Wilno; Kaz. Majde, Warszawa; Mich. Wysocka, Warszawa; J. Mackiewicz, Krzywiń; A. Kłohes, Kraków; A. Rotter, Kraków; Miecz. Górka, Kraków; J. Klimaszewska, Stary Sącz; J. Książczakowa, Warszawa; M. Lejpuner, Warszawa; M. Steculanka, Kalisz; ks. Leopold Klmentowski, Tarnopol; H. Dziwirkówna, Raków; Nat. Sobolewska, Lublin; N. Kaz. Kozłowski, Warszawa; H. Gintrowski, Kraków; Tippe Kaz., Rawicz; B. Ramułtowa, Jeżów; **Józef Janyst, Łódź (zł. 30.—)**; Fr. Wiśniewski, Warszawa; Tad. Bogdany, Tarnowskie Góry; Stan. Tulej, Pińczów; J. Fonferko, Przemyśl; Z. Fonferko, Przemyśl; Mr. Hubert T. Żabno; J. Kleczyński, Lesko; Koło Tow. Szkoły Ludowej, Węgierska Górka; A. Borowiecz, Poznań; W. Tyblewski, Poznań; Wiera Dadejowa, Warszawa; A. Bochniak, Tarnobrzeg; M. Kubiszowa, Poznań; R. Więckowski, Warszawa; Kaz. Chendyński, Nowa Wieś; H. Zadarnowski, Dubno; J. Bielesz, Kraków; M. Ałbrzykowski, Kraków; H. Łakotówna, Zawiercie; Jawnuta, Słonim; M. Jagusiński, Kraków; J. Chłosta, Chełmno; Zbysio i Tolo Różascy, Krosno; R. Dergiman, Wilno; Zdz. Fischbach, Wrześnią; I. Wajsfeld, Pińców; W. Strzałkowski; Cz. Lewiński, Bydgoszcz; J. Kamyk, Krynica; Ziuta Płaszyńska, Oświęcim; Eug. Wernikowska, Sandomierz; **Janina Semanyszynówna, Chodorów (zł. 20.—)** Jan. Miodowiczówna, Gniezno; B. Cy-Poznań; T. Sobecki, Poznań; Ewa Brzozowska, Warszawa, nek, Dubno; L. Nieczuja-Ihnatowicz, Gdynia; R. Schjjtzowa, Warszawa; M. Zapiór, Kraków; Jurek Zapiór, Kraków; „Gers", Kraków; „Jaś", Nowy Sącz; „Heg", Kraków; Stan. Mucha, Kraków; Ir. Muchowa, Kraków; Z. Pisarski, Gand.; L. Pogoda, Jaworzno; H. Czaplina, Poznań; Wład. Pochmarski, Lwów; Wład. Pędzimąż, Zakopane; B. Morawski, Katowice; Walent. Zalewska, Ozorków; H. Makarewicz, Ostrowiec; H. Arciuszkiewiczowa, Grodno; Eug. Dziewoński, Kraków; J. Doroszkiewicz, Królewszczyzna; Stan. Beśka, Stopce; En. Mauz, Stryj; J. Krosnowski, Warszawa; W. Strubrny, Katowice; J. Obtułowicz, Węgierska Górka; „Helenka", Prokocim; Franc. Gawryś, Kraków; Lub. Kisielewicz, Kraków; Franc. Świerczek, Kraków; Ir. Marcinkówna, Kraków; Zb. Jaworski, Stanisławów; St. Jabłoński, Prokocim; kpt. L. Haulschild, Nowy Targ; Kaz. Kalinowska, Lwów; L. Lenartowski, Poznań; Stan. Ogrodziński, Dawigródek; „Stella", Łask; J. Janczewski, Wilno; St. Effert, Poznań; J. Zdzitowiecki, Raciąż; Z. Eljaszewicz, Królewszczyzna; Stan. Matuszkiewicz, Sułkowice; W. Maziarzówna, Ozorków; Wł. Wojtczakowa, Ozorków; „Apollo", Ozorków; Al. Kuczewska, Warszawa; „Allah", Sosnowiec; J. Stelmechów, Stryj; **Jan Nieć, Sanok (zł. 10.—)**; W. Fabrowski, Ostrzeszów; Ir. Popiołkówna, Pabjanice; Jerzy Buki, Kalisz; J. Englert, Lwów; J. Bortnik, Kraków; inż. Stan. Nowakowski, Nowy Sącz; Z. Busiakówna, Kraków; Jadw. Świerczyńska, Lwów; Tad. Kosiński, Skierniewice; „K. W. Radom"; Jan Maczek, Czernichów; H. Opielińska, Środa; Lub. Kisielewiczówna, Kraków; A. Burchard, Częstochowa; T. Zuchmantowicz, Pionki; A. Papée, Katowice; K. Pusiokowa, Katowice; Janek Siedlicki, Warszawa; Sylw. Klupsz, Czempień; Z. Biesiada, Ozorków; Janina Gilowa, Gniezno; J. Gdowski, Kraków; Edw. Jurewicz, Wilno; M. Strubel, Warszawa; J. Maziarz, Ozorków; H. Wymiatałkówna, Wieliczka; Janusz Roman, Warszawa; Z. Tietz, Warszawa; Stan. Mikowska, Warszawa; „Abiturjent", Lwów; A. Relidzyńska, Radom; W. Siuta, Kołomyja.

W losowaniu o nagrodą, los padł na pp. Józefa Janysta, Łódź (zł. 30.—); Janinę Semanyszynówną, Chodorów (zł. 20.—) i Jana Niecia, Sanok (zł. 10.—).

Redakcja „Światowida" prześle nagrody wyżej wymienionym niebawem.

Rozwiązanie z Nr. 50.

SZARADA: Dziwnie się życie plecie na tym Bożym świecie.

REBUS: Przepadamy za Światowidem.



5

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Kwczyńskiego.

KUPON Nr. 1 *upoważniający do losowania nagrody za rozwiązanie zagadek z dnia 1 stycznia 1933 r.*

Arytmograf.

(Uł. Antoni Gromski — Strzyżów).

	15	2	21	19	20	13	4	8	21	10	2	18	17	6	
1	3	10	4	8	17	8	12	19	17	15	17	8	10	14	3
7	11	6	10	4	18	2	15	17	8	1	7	1	9	16	17
3	15	2	21	8	6	10	4	18	6	1	7	3	5	7	18

W miejsce cyfr wstawione litery dadzą rozwiązanie.

Wyrazy pomocnicze:
1) 1, 2, 3, 4, 5 = minerał;
2) 6, 7, 8, 9, 6, 10 = przymierze;
3) 11, 12, 13 = gad;
4) 10, 14, 9, 15 = rzemieślnik;
5) 16, 17, 18, 17, 15, 19, 20, 21 = nazwa kanału.

Szarada.

(Uł. L. Ciesielski, czł. Warsz. Kl. Szar.)

Jako **pierwsze-siódme** krasne jej usteczka —
Liczko: róż koloru, świeże, uśmiechnięte —
Dwa-siódme jej włosów: promyki słoneczka —
Oczy: gwiazd brylanty, jakby z nieba zdjęte...
Kształty jakby z bronzu **u=piąte i czwarte** —
Cała — piękna Wenus!.. więc bijemy czołem
Przed nią i mówimy: życie jest coś warte,
Bo śliczna **pięć-piąta**, zda się być aniołem!...

. . . .

Sześć gdy czas swym zębem jej piękno zadraśnie,
Gdy przyrośnie ciała ze sto **siedem-drugie** —
Gdy młodość za sobą przed nią drzwi zatrzaśnie,
Staje się mniej piękną, bo... **raz** lata długie...
Mąż jej głową tylko smutnie **siedem-trzecie**,
Bo się anioł jego zmienił w złą kobietę!
Ją nie zadowolni nic już na tym świecie...
Bo latka przyczyną na złości podniętę.
A choć **trzy-sześć-czwarte** są twoje wyczyny,
Aby rozpromienić ckne życie anioła,
Wnet wrzaśnie: „Żem stara — to z twojej przyczyny!!...
„Och, nic mnie... już nic mnie pocieszyć nie zdoła!..."

Za rozwiązanie powyższych dwu zadań redakcja „Światowida" przezn

Trzy nagrody.

Pierwsza zł. 30, druga zł. 20, trzecia zł. 10.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 7-go stycznia 1933 r. wraz z załączonym kuponem.

ZŁOTE MYŚLI URZĘDNIKA W NOC SYLWESTROWĄ.



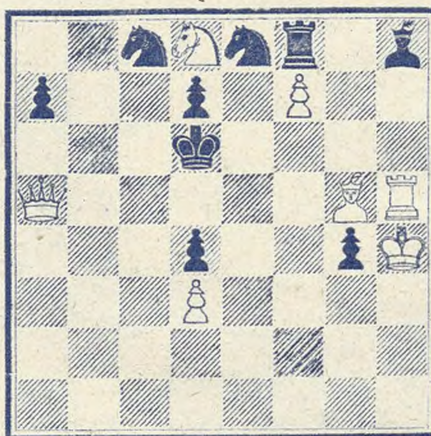
— Co za cudowny widok, życie naprawdę jest piękne!

Dział szachowy

pod redakcją Mieczysława Gałuszki.

H. Vetter (IV nagr. w konk. „Dagens Nyheder" w roku 1931).

Czarne: Kd6, Wf8, Gh8, Sc8 e8, piony: a7, d4 d7, g4 (9).



Białe: Kh4, Ha5, Wh5, Gg5, Sd8, piony: d3, f7 (7).
3-chodówka. 7+9=16.
Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązanie 3-chodówki H. Vettera: 1. K—g3; I. 1... S—e5 2. H×e5+ i 3×; **II.** 1... S—b6 2, H—c5+ i 3×; **III.** 1... S—g7 2. G—f4+ i 3×; **IV.** 1... S—e7 2. G—f4+ i 3×.

PARTJA.

Białe: **Takacs (†)** Czarne: **Pallin**
granana korespondencyjnie w r. 1930.

Obrona indyjska.

1. d4 S—f6
2. c4 g6
3. S—f3 G—g7
4. b3 0—0
5. G—b2 d6
6. g3 S—c6
7. G—g2 S—d7
8. S—c3 e5
9. d×e5! Sd×e5
10. H—d2 W—e8
11. 0—0 W—b8
12. S—d5! G—e6
13. S—d4 S×d4
14. G×d4 S—c6
15. G×g7 K×g7
16. f4! W—f8
17. e4 H—d7
18. f5! G×d5 **(1)**
19. f6+ **(2)** K—h8
20. H—h6 W—g8
21. e×d S—d4
22. H—d2! H—g4
23. K—h1! S—f5
24. Wa—e1 Wb—e8
25. W—f4 H—g5
26. W×e8 W×e8
27. W—e4! **Czarne poddały się.**

Uwagi:
(1) 18... g×f 19. H—g5+ K—h8 29. S—f6!
(2) Początek pięknej kombinacji świetnie obmyślanej.

Trafne rozwiązanie zagadek z Nr. 50 nadesłali:

Marja Szewiakowa, Wilno; Em. Kochmańska, Kraków; „Wiślanka", Warszawa; „Wilnianin", Dubno; Marja Fischler, Lwów; Irena Zacherowa, Jaworzno; Janek S., Warszawa; Jadwiga Lisowa, Kraków; Marja Rundowa, Bielsko; W. Kortylewicz, Poznań; A. Altenberger, Łódź; Wiera Radke, Łódź; inż. Antoni Szuksta, Warszawa; W. Zaboklicki, Warszawa; R. Siwczyk, Lubliniec; Helena Lutrowiczówna, Kraków: A. R. Ordza, Kraków; Helena Chudzyńska, Lipsk; Zofja Kiejziewiczówna, Wilno; Stanisław Konarzewski, Inowrocław; T. Cieszewski, Wilno; Franciszek Łukaszewicz, Wilno; plut. Mich. Szymko, Podbrodzie; J. Czerwiński, Kowel; H. Wasilewska, Troki; L. Broner, Kraków; W. Ossowiczowa, Piastów; „Manfred"; A. Szmytowa, Poznań; Zb. Błock, Poznań; H. Chmielewska, Starogard; J. Zieliński, Zbąszyń; M. Hutny, Kraków; Wład. Gajowa, Poznań; K. Stamciewicz, Sosonwiec; Cz. Brożek, Nowy Targ; Cz. Kaszubska, Sieradz; Stan. Dudzic, Skarżysko; L. Boroński, Kraków; Tad. Mazurek, Wilcza Dolna; M. Lipińska, Białystok; M. Niekraszówna, Wilno; W. Kostka, Kraków; J. Krupa, Kraków; Mich. Adamczyk, Węgrów; „Niunia", Rzeszów; „Emerytka", Wilno; Kaz. Majde, Warszawa; Mich. Wysocka, Warszawa; J. Mackiewicz, Krzywiń; A. Kłohes, Kraków; A. Rotter, Kraków; Miecz. Górka, Kraków; J. Klimaszewska, Stary Sącz; J. Książczakowa, Warszawa; M. Lejpuner, Warszawa; M. Steculanka, Kalisz; ks. Leopold Kłmentowski, Tarnopol; H. Dziwirkówna, Raków; Nat. Sobolewska, Lublin; N. Kaz. Kozłowski, Warszawa; H. Gintrowski, Kraków; Tippe Kaz., Rawicz; B. Ramułtowa, Jeżów; **Józef Janyst, Łódź (zł. 30.—)**; Fr. Wiśniewski, Warszawa; Tad. Bogdany, Tarnowskie Góry; Stan. Tulej, Pińczów; J. Fonferko, Przemyśl; Z. Fonferko, Przemyśl; Mr. Hubert T. Żabno; J. Kleczyński, Lesko; Koło Tow. Szkoły Ludowej, Węgierska Górka; A. Borowicz, Poznań; W. Tyblewski, Poznań; Wiera Dadejowa, Warszawa; A. Bochniak, Tarnobrzeg; M. Kubiszowa, Poznań; R. Więckowski, Warszawa; Kaz. Chendyński, Nowa Wieś; H. Zadarnowski, Dubno; J. Bielesz, Kraków; M. Ałbrzykowski, Kraków; H. Łakotówna, Zawiercie; Jawnuta, Słonim; M. Jagusiński, Kraków; J. Chłosta, Chełmno; Zbysio i Tolo Różascy, Krosno; R. Dergiman, Wilno; Zdz. Fischbach, Września; I. Wajsfeld, Pińców; W. Strzałkowski; Cz. Lewiński, Bydgoszcz; J. Kamyk, Krynica; Ziuta Płaszyńska, Oświęcim; Eug. Wernikowska, Sandomierz; **Janina Semanyszynówna, Chodorów (zł. 20.—)** Jan. Miodowiczówna, Gniezno; B. Cy-Poznań; T. Sobecki, Poznań; Ewa Brzozowska, Warszawa, nek, Dubno; L. Nieczuja-Ihnatowicz, Gdynia; R. Schjjtzowa, Warszawa; M. Zapiór, Kraków; Jurek Zapiór, Kraków; „Gers", Kraków; „Jaś", Nowy Sącz; „Heg", Kraków; Stan. Mucha, Kraków; Ir. Muchowa, Kraków; Z. Pisarski, Gand.; L. Pogoda, Jaworzno; H. Czaplina, Poznań; Wład. Pochmarski, Lwów; Wład. Pędzimąż, Zakopane; B. Morawski, Katowice; Walent. Zalewska, Ozorków; H. Makarewicz, Ostrowiec; H. Arciuszkiewiczowa, Grodno; Eug. Dziewoński, Kraków; J. Doroszkiewicz, Królewszczyzna; Stan. Beśka, Stopce; En. Mauz, Stryj; J. Krosnowski, Warszawa; W. Strubrny, Katowice; J. Obtułowicz, Węgierska Górka; „Helenka", Prokocim; Franc. Gawryś, Kraków; Lub. Kisielewicz, Kraków; Franc. Świerczek, Kraków; Ir. Marcinkówna, Kraków; Zb. Jaworski, Stanisławów; St. Jabłoński, Prokocim; kpt. L. Haulschild, Nowy Targ; Kaz. Kalinowska, Lwów; L. Lenartowski, Poznań; Stan. Ogrodziński, Dawigródek; „Stella", Łask; J. Janczewski, Wilno; St. Effert, Poznań; J. Zdzitowiecki, Raciąż; Z. Eljaszewicz, Królewszczyzna; Stan. Matuszkiewicz, Sułkowice; W. Maziarzówna, Ozorków; Wł. Wojtczakowa, Ozorków; „Apollo", Ozorków; Al. Kuczewska, Warszawa; „Allah", Sosnowiec; J. Stelmechów, Stryj; **Jan Nieć, Sanok (zł. 10.—)**; W. Fabrowski, Ostrzeszów; Ir. Popiołkówna, Pabjanice; Jerzy Buki, Kalisz; J. Englert, Lwów; J. Bortnik, Kraków; inż. Stan. Nowakowski, Nowy Sącz; Z. Busiakówna, Kraków; Jadw. Świerczyńska, Lwów; Tad. Kosiński, Skierniewice; „K. W. Radom"; Jan Maczek, Czernichów; H. Opielińska, Środa; Lub. Kisielewiczówna, Kraków; A. Burchard, Częstochowa; T. Zuchmantowicz, Pionki; A. Papée, Katowice; K. Pusiokowa, Katowice; Janek Siedlicki, Warszawa; Sylw. Klupsz, Czempień; Z. Biesiada, Ozorków; Janina Gilowa, Gniezno; J. Gdowski, Kraków; Edw. Jurewicz, Wilno; M. Strubel, Warszawa; J. Maziarz, Ozorków; H. Wymiatałkówna, Wieliczka; Janusz Roman, Warszawa; Z. Tietz, Warszawa; Stan. Mikowska, Warszawa; „Abiturjent", Lwów; A. Relidzyńska, Radom; W. Siuta, Kołomyja.

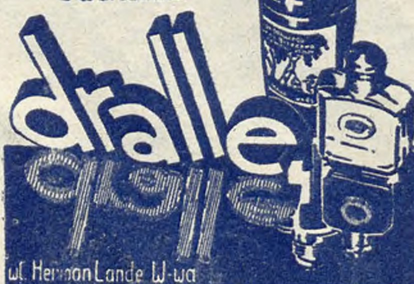
W losowaniu o nagrodą, los padł na pp. Józefa Janysta, Łódź (zł. 30.—); Janinę Semanyszynównę, Chodorów (zł. 20.—) i Jana Niecia, Sanok (zł. 10.—).

Redakcja „Światowida" prześle nagrody wyżej wymienionym niebawem.

Rozwiązanie z Nr. 50.

SZARADA: Dziwnie się życie plecie na tym Bożym świecie.

REBUS: Przepadamy za Światowidem.



ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 104.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor:
MARJAN DĄBROWSKI

Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.

Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KUPON Nr. 1 *upoważniający do losowania nagrody za rozwiązanie zagadek z dnia 1 stycznia 1933 r.*